

ŻYCIE NA PEŁNYCH OBROTACH

Rozstrzygnięcie konkursu „Nauczycielka w kilku rolach” — fragmenty nagrodzonych prac

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXVI • NR 14 • 3 IV 1983
CENA 10 ZŁ

GŁOS

NAUCZYCIELSKI



PRZYBLIŻYŁ IM GWIAZDY

Liceum Ogólnokształcące im. B. Chrorego w Piotrkowie Trybunalskim ma własne planetarium. Wykonał je na miejscu **ZBIGNIEW SOLARZ**, nauczyciel astronomii, fizyki z wykształcenia. Pomagali mu w tym uczniowie.

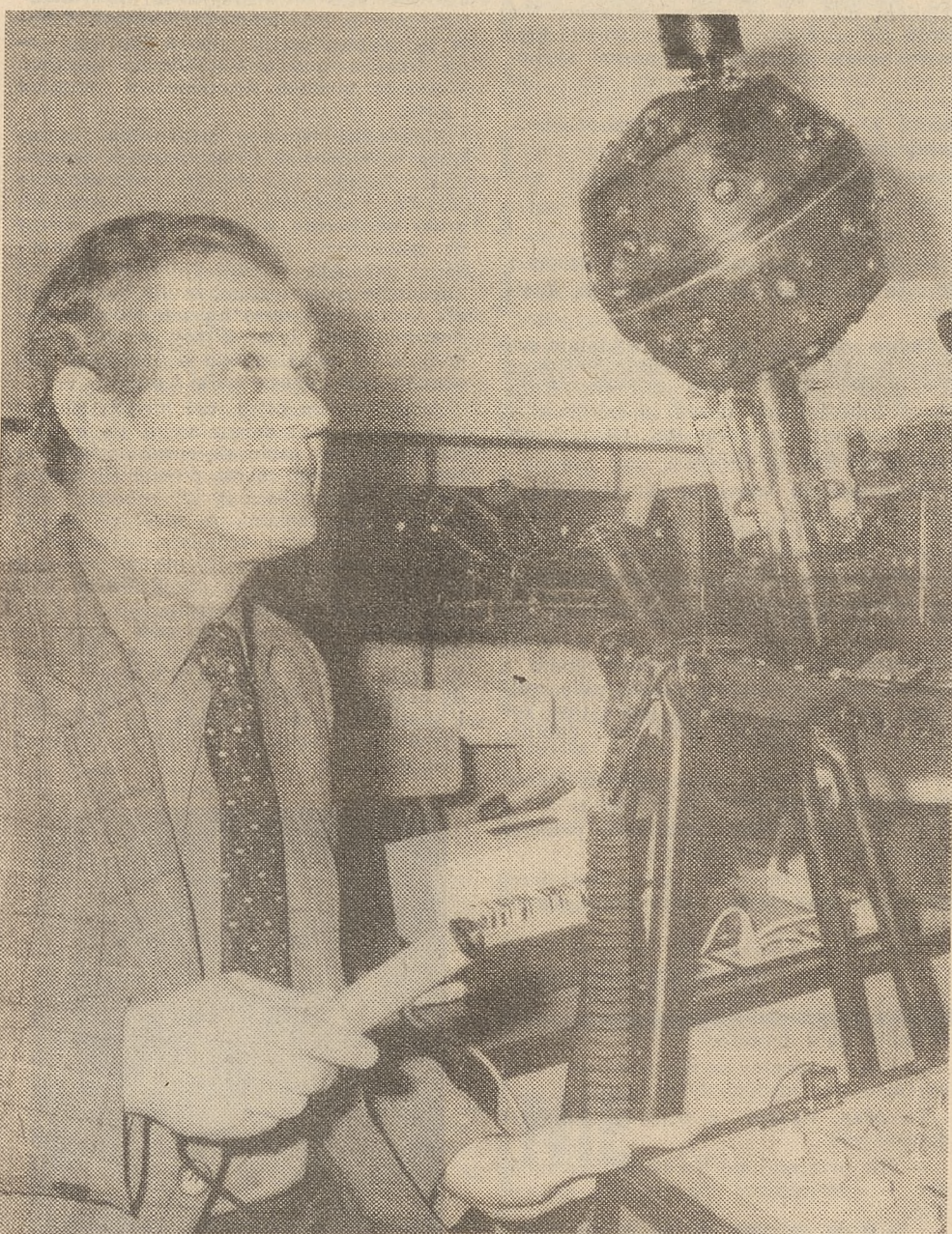
Czy łatwo zbudować planetarium? Sztuka ta w Polsce jeszcze nikomu się nie udało — mówi Maciej Mazur z Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. — Były dwie próby, inżynierów Kibińskiego i Zebera, obydwie nieskuteczne. Solarz pierwszy doprowadził dzieło do końca. I to w jakich warunkach? Gdzież mu do fabrycznych wygod Zeissa, jedynego producenta planetariów we Wschodniej Europie. On je po prostu zbudował „domowym sposobem” w szkole. Przedstawiciele polskiego świata astronomicznego byli zaskoczeni i zdumieni, gdy jesienią 1979 roku Zbigniew Solarz, już jako nauczyciel astronomii, zjawił się w Krakowie na sesji naukowej z okazji 60-lecia Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii i oznajmił z trybuny wobec tuzów polskiej astronomii, że zamierza budować planetarium. Jak szacowne gremium zareagowało na takie dictum. Taktowni byli, wyśmiać to go nie wyśmiali, ale... Maciej Mazur, ówczesny prezes towarzystwa, przypomina sobie, że wtedy pomyślał: „Jak chce się bawić te 10—15 lat w planetarium, to niech się bawi. W końcu zajęcie to całkiem zbożne. Inżynierowie zęby na tym połamali, a tu wyskoczył prawdziwy filip z konopi, skromny nauczyciel z prowincji, co to jeszcze za staliniowskich czasów skończył fizykę w krakowskiej WSP i nawet magistra nie ma,

bo wtedy w tej uczelni takich tytułów nie dawali”.

Dziesiątego października 1981 roku odbyła się w piotrkowskim liceum uroczystość otwarcia — planetarium. Zjechał się cały świat astronomiczny: profesorowie, doktorzy, prezesi i... wielu ciekawskich. Własnym oczom nie wierzyli.

Świadkowie tego historycznego wydarzenia jednomyślnie orzekli: jakość obrazu nieba jest wyższa niż w tego typu małych planetariach zeissowskich, obraz jest przede wszystkim bogatszy. Także samą aparaturę cechuje większa prostota obsługi niż u Zeissa. Urządzenie wykonane jest solidnie i, co równie ważne, estetycznie. Bardzo efektownie prezentuje się oryginalny pulpit z przełącznikami. Specjalna obudowa chroni przed zaczepieniem się, uderzeniem o wystające części konstrukcji. To bardzo istotne w sytuacji, gdy przez planetarium przetaczają się tłumy ludzi. Dr Henryk Chrupała, dyrektor planetarium chorzowskiego, największego w Polsce, rekapitułuje: „Wydawało nam się, że pan Solarz nie wybrnie. Aparatura planetarium jest bardzo skomplikowana. W warunkach amatorskich pokonać trudności wynikające chociażby z natury zjawisk optycznych — to nie lada sztuka. Jest to wyjątkowo udany model dydaktyczny”.

I jeszcze jedna sprawa wydaje się fachowcom zupełnie niepojęta. Zbigniew Solarz budował dzieło swego życia bez żad-



Fot. Cz. Górski

KOMU INDEKS

NOWY SYSTEM STARE KŁOPOTY

Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że dotychczasowy system rekrutacji na studia wyższe był tyleż krytykowany ile mało efektywny, jeśli chodzi o pozytywną selekcję kandydatów. Właściwie nie było, zdaje się, takiego środowiska, którego przedstawiciele przy rozmaitych okazjach nie wytykaliby resortowi nauki i szkolnictwa wyższego wad systemu przyjęć na studia. Krytykowali więc go zdający na studia, ich rodzice, nauczyciele szkół średnich, nauczyciele akademicki — sam

resort zresztą od czasu do czasu, kiedy już mocno go ktoś do muru przycisnął, przyznawał, że w istocie ma ów system kilka wad. Od osiemnastu jednak lat właściwie nic się tu nie zmieniło, a trzykrotnie poprawki na dobrą sprawę nie rewolucyjnego do tematu nie wniosły. Ani nie satysfakcjonowały kandydatów na studia, ani też uczelni, którym nadal najwięcej kłopotu sprawiały odwołania plus próba odpowiedzi na pytanie, kim właściwie jest ów kandydat, czy sprawdzi się jako stu-

dent, czy po prostu miał tylko szczęście na egzaminie wstępnym. I tak to właściwie trwało do dziś.

Dlaczego „trwało” a nie „trwa”? Oto bowiem mam przed sobą projekt zmian w systemie przyjęć na studia wyższe, który, jakby nie było, w swej zasadniczej części rzeczywiście odbiega od dotychczasowej praktyki. Póki co skierowany został do konsultacji zarówno w szkołach wyższych jak i średnich. Według zamierzeń Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki jego wprowadzanie w życie rozpoczęłoby się od przyszłego roku akademickiego. Korzystając więc z okazji i czasu, pozwalam sobie i ja zabrać głos w tej sprawie. Przy czym uprzedzić muszę, iż jest to moja prywatna opinia nie poparta w dodatku żadnymi konsultacjami.

Najpierw jednak o tym, co proponuje ministerstwo, na ile różni się to od dotychczasowych w tym względzie rozwiązań, jakie i komu daje szansę?

Nowy system rekrutacji na studia wyższe opiera się zasadniczo na dwóch założeniach. Po pierwsze: o tym, jak kandydat da sobie radę na studiach, jakim będzie studentem, czy w ogóle nada się na studenta — decyduje nie tylko zasób wie-

dzy wyniesionej ze szkoły średniej, ale i uzdolnienia, motywacja do nauki postawa społeczno-polityczna. Po drugie: proces kwalifikowania na studia nie może ograniczać się tylko do mechanicznego sprawdzianu wiedzy, czyli egzaminu wstępnego organizowanego przez szkołę wyższą.

Proponowane zmiany zmierzają więc do wypracowania takiego systemu rekrutacji, który dawałby większą pewność, że na studia dostają się rzeczywiście tylko najlepsi, rogujący nadzieję na przyszłość. Osiągnąć to można jedynie poprzez wielostronną ocenę, charakterystykę kandydata oraz wieloetapowy system kwalifikowania na studia, rozciągnięty w czasie.

Nowe zasady przyjęć zakładają przede wszystkim ściślejszą współpracę ze szkołą średnią, której to dają między innymi przywilej rekomendowania ucznia (maturzysty) na studia. Nie ma to jednak nic wspólnego z wystawianiem mu cenzurki prymusa, nie o to bowiem chodzi. Udzielanie rekomendacji rozumie się tu jako



Nasz konkurs „NAUCZYCIELKA W KILKU ROLACH” rozwiązany!

DLA SIEBIE CZASU NIE MAJĄ

Jego plan to ponad 700 stron tekstu, pisanego ręką kobiet utrudzonych, zabieganych, zatroskanych jednako o los własnych i cudzych dzieci; kobiet dzielących z trudem czas między obowiązki zawodowe, społeczne, domowe; kobiet ambitnych, bo pochłoniętych bez reszty zdobywaniem wiedzy i pozycji zawodowej. Siedemdziesiąt kilka prac — zwierzeń szczerych, płynących prosto z serca, pisanych przy tym barwnie, ciekawie — nie upoważnia do zbyt- nych uogólnień. Wiernie oddaje jednak prawdę o losie pokolenia nauczy- cielek „wiecznych studentek”, poko-

KOMUNIKAT JURY

Na konkurs wpłynęły 73 obszerne i ciekawe prace. Wszystkie zostały wnikliwie przeczytane i ocenione jako spełniające warunki konkursu. Zwraca uwagę wysoki poziom prac, uzdolnienia autorek. Jury w składzie: red. Maria Rybarczyk — przewodnicząca oraz członkowie — red. Danuta Chrzczonowicz i nauczyciel Sławomir Sikorski, po zapoznaniu się z treścią opracowań, przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Nagrodę I — 10 000 zł — autorce pracy opatrzonej pseudonimem „**Bar-tek**” (fragmenty pracy opublikowaliśmy w 10 numerze „Głosu”).

Dwie II nagrody — po 4000 zł — otrzymały autorki prac opatrzonych pseudonimami „**Barbara**” i „**Pogański Anioł**”.

Trzy III nagrody — po 2000 zł — przyznano za prace opatrzone pseudo- nimami „**Agnieszka**”, „**Ala**” i „**Miś**”.

2 GŁOS NAUCZYCIELSKI

lenia kobiet, które wszystko, co zdo- były, to, kim są dziś, zawdzięczają własnej, ciężkiej pracy. Można po- wiedzieć bez przesady, że mamy tu do czynienia z nowym wcieleniem Si- laczki, która przejęła na swoje kobie- ce barki ciężar trudny do udźwignię- cia. Toteż wiele z nich w momencie, gdy osiąga sukces, dyplom uczelni wyższej, tytuł naukowy, wysoką sprawność zawodową, uznanie — jest zmęczonych, ma kłopoty ze zdrowiem i myśli o emeryturze. W momencie, gdy — jak twierdzi większość auto- rek prac konkursowych — można dać z siebie najwięcej, gdy ma się i wie- dzę, i doświadczenie.

Godne podziwu są: odwaga, samo- zaparcie, wiara w możliwość pokona- nia trudności, miłość do wychowan- ków, chęć tworzenia dobra, pragnie- nie przeobrażania ludzi i świata, słu- żenia innym. Mówi się często o zawo- dzie nauczycielskim, że obniżył loty, że zatracił cechy, które wyróżniały go niegdyś wśród innych. Prace konkur- sowe zaprzeczają temu. Są w tym za- wodzie, opłacanym przez wiele lat ni- sko, gorzej od innych, ludzie krysz- tałowi, nieprzećiętni, gotowi do poś- wieceń, mający ogromne poczucie od- powiedzialności za los dziecka, zwią- zani ze środowiskiem. Z prac kon- kursowych wyciera obraz nauczyciel- ki-społeczniczki, świadomej swojej roli nie tylko wobec dziecka, wrażliwej na los innych ludzi, na to wszystko, co dzieje się wokół. Te utrudzone ko- biety mają w sobie pełną gotowość uczestniczenia w życiu wsi, miasta, regionu, są obecne w środku wyda- rzeń w szkole i poza nią.

Są te kobiety bohaterkami. To nie przesada. Bo czynnie innym jak nie bohaterstwem nazwać trzeba ich wal- kę o... prawie wszystko. O egzysten- cję, tę niebanalną, rodzinną, o los własnych dzieci, często o męża, który nie rozumie ambitnej żony, o los gro- nady uczniów, o własny rozwój i po- zycję w szkole, o ukończenie studiów, o lepszy byt wsi, miasteczka i o coś jeszcze, i o coś jeszcze...

Zresztą, sami Czytelnicy, ocenicie to najlepiej. Fragmenty nagrodzo- nych prac będziemy publikować w kolejnych numerach „Głosu”. Wróci- my w nich także do pośledzionej oce- ny konkursu. Dziś cztery spośród wy- branych prac.

Dziesięć IV nagród — po 1000 zł — otrzymały autorki prac opatrzonych pseudonimami: „**Baccara**”, „**Romana**”, „**Anna**”, „**Marta**”, „**Alicja**”, „**Zuzan- na**”, „**Nadzieja**”, „**Ewa**”, „**Waga**”, „**Fe- mina**”.

Czternaście wyróżnień w postaci książek przyznano autorkom prac o- patrzonych pseudonimami: „**Aniela**”, „**Jubilatka**”, „**Krystyna**”, „**Nienasy- cona**”, „**Sowa**”, „**Szarotka**”, „**Słazacz- ka**”, „**Tarnogórzanka**”, „**Wrzós**”, „**Zo- ska**”, „**Zaoznaki**”, „**Ziuta**” oraz Sta- nisławie Zuchowskiej i Marii Wojdan (brak pseudonimów).

Autorki prac opatrzonych pseudo- nimami: „**Miś**” i „**Barbara**” prosimy o jak najszybsze przesłanie nazwisk i adresów.

Nagrody pieniężne wręczone zosta- ła laureatkom na spotkaniu w redak- cji, o którego terminie powiadamimy listownie.

Wyróżnienia książkowe prześlemy pocztą.

NAGRODA II JAK W KOŁOWROCIE

Wjeście w środowisko uzdrowskowie od- było się nagle i oszalamiająco. Na począt- ku było olśnienie urodą krajobrazu, barwą jesiennego parku, zapachem świerku przy szkolnym pawilonie. Potem utrwaliły się wrażenia akustyczne: zgrzyt ciężkich żelaz- nych drzwi, krótki, urywany stuk lekkich drzwi do sal, szum wody w łazienkach przenikliwy dźwięk internetackiego dzwon- ka. Dalej zapach arkuszy leżących na biur- kach w kancelarii. Dzień dobry. Dzień do- bry pani. Dzień dobry pani profesor...

Potem? Pamięć zatębia już prawie wszyst- ko. Zostały jakieś drobne, barwne plam- ki.

Może więc wieczorna rozmowa odda le- piej nastroje?

— Dobranoc, mamusiu.

— Cześć Zabol! Spij spokojnie — odpo- wiadam cicho i w miarę rzeczowo. Nie mogę się zdobyć na nutkę tkliwości, gdyż zaraz będzie mazanie, dowiecipuszki dysku- syjka, wreszcie tupot bosych łap i już wślizga się pod moja koldrę w małym po- koiku, z którego została przepędzona bru- talnie kilka dni wcześniej.

— Nigdy nie masz dla mnie czasu!

— Niemożliwe. Właśnie mam.

— No to porozmawiajmy.

— Rozmawiajmy. A o czym?

— No to... (szuka gwałtownie tematu)

Musisz mi kupić rajstopy, piórnik, gum- ke...

Dobre sobie. Za co? Znowu wydalam po- łowę następnej pensji. Z nadliczbowkami. Z trzema kursami wyrównawczymi. Kuza forsę, której nigdy dosyć od lat dziesię- ciu, chociaż teraz trochę lepiej. Ot, chociaż- by ten dodatek funkcyjny.

Po dziesięciu latach samotnej walki o miejsce w życiu — dobre, wygodne miej- sce w życiu dla siebie i Ani nagle poczu- łam — że mam absolutnie dosyć wszystkie- go. W podaniu o przeniesienie do Szczeci- na znalazło się uzasadnienie: „ze względu na zmianę stanu cywilnego”. Postanowi- łam wyjść za mąż za człowieka o 17 lat starszego od siebie, właściciela domu z ogrodkiem. Kuratorstwo szczecińskie mi- łało jak zaklęte i wtedy nagle (był konie- ciej maja) wezwano mnie do... gabinetu.

— Chciałam pani zaproponować, stano- wisko wicedyrektora.

— Pan, dyrektorze, opiniował przecież moje podanie o przeniesienie.

Ja nie pytam pania, czy się pani prze- nosi, lecz — czy chce pani objąć stano- wisko?

Poprosiłam o miesiąc do namysłu, a po powrocie szefa z sanatorium odpowiedzia- łam: — jeżeli podtrzymuje pan swoją pro- pozycję, zgadzam się. Od września mówię się do mnie: pani dyrektor.

— Wiesz, wszyscy są dla mnie tacy mili od czasu, gdy zostałam dyrektorem.

To Ania. Radość z powodu „korzyści duchowych”.

— Nie przejmuj się. To się szybko skoń- czy — sprowadzam marzycielkę na zie- mię.

Ty tak zawsze. Z tobą nie można po ludzku rozmawiać.

Dasa się, ale za chwilę przynosi zeszyt z zadaniem z matematyki.

— Dobrze?

— Nie wiem. Nie jestem na tym etapie.

— To dlaczego jesteś dyrektorem?

— Z braku innych możliwości.

— Mama, przestań.

— Ale ja naprawdę nie wiem.

Te rozmówki to jedyna radość naszego życia. Jesteśmy tylko dwie, od dziesięciu lat tylko dwie — z małą przerwą na pod- wojny, samodzielny przelot samolotem do Kopenhagi i z powrotem — na zaprosze- nie... taty

Od czterech lat razem wstajemy o 6.15 i pedzimy do tego samego budynku, przy ul. Prusa. Maluch na pierwsze, ja na dru- gie piętro. W życiu Maluchta zmieniają się klasy, czasem panie, w życiu mamy jedyna sensowna zmiana dotyczyła zamiany poko- ju nauczycielskiego na gabinet. Chociaż mamę można częściej spotkać w pokoju niż w gabinecie.

Maluch już nie rzuca się mamie na szy- ję na korytarzu. Został kiedyś za to porzą- dnie ofuknięty. Nie płacze się po pokoju dla nauczycieli, lecz prosi grzecznie dyżur- ną o poproszenie mamy, bo właśnie po- trzeba 100 zł na mleko. Mama cędzi przez zęby: w domu nie pamiętałaś...

W szkole mama jest obca, niedostępna: dopiero w domu, o ile wraca o 16.00, moż-

na rozmawiać „po ludzku”. Jeżeli wraca póź- niej — lepiej nie ryzykować.

— Zmęczysz się?

— Uhy. Możesz mi zdjąć buty i zrobić herbatę?

— Mogę. Jak było?

— Podł. Znowu administracyjny mnie zdenerwował. No, powiedz, jak można roz- mawiać z takim człowiekiem, którego przerasta każda sytuacja. Tu następuje szczegółowy opis piekielnie ważnej, epoko- wej rozmowy, dotyczącej... dorobienia klu- czy do pracowni.

— Mama, ty się zamęczysz.

— Trudno, przynajmniej umrę jako dy- rektor.

Zadna z mamy pasji nie narobiła tyle zamieszania w życiu rodziny co ta ostat- nia, pasja rządzenia, porządkowania zmi- ny. W kolejnych wieczornych rozmowach ze sobą pojawia się nuta sarkazmu. No, tak. W teatrze szkolnym gram od lat trzy- nastu. Zmieniłam kilka scen.

Siedem ostatnich lat wypełniło moje ży- cie obowiązkiem i nadzieją, że lepsze przyjdzie niedługo, już za tydzień, miesiąc, semestr. Godziłam od początku dwie role: nauczycielki i matki. Moje dziecko porzu- cone w pół roku po urodzeniu przez tatę — który wyjechał, mogłoby powiedzieć, że by- ła lepsza jako nauczycielka. Wydawało mi się zawsze, że w tej roli potrafię być czymś wyjątkiem. Tylko tu widziałam szansę na wykorzystanie jakichś pomysłów.

Przed wszystkim byłam instruktorem. Prowadziłam najpierw koło, potem klub, a na koniec zespół artystyczny. Emocje jak- ie towarzyszyły nam podczas przewodowa- nia kolejnego programu, napięcie podczas występu, gratulacje po imprezie, dowody uznania w postaci listów z podziękowa- niami wypełniały moje dość monotone ży- cie. Casy czas towarzyszyły mi myśli o za- latwieniu na czas wszystkich spraw. A by- ły jednakowo ważne: obiad dla Ani, no- wa frizura, przyjęcie kolejnego występu. Wszystko musiało się odbyć w terminie i udać.

Efektowne występy zauważono, zaczę- łyśmy występować w eleganckich sanato- riach. Zaczęło nas prosić o uświetnianie rocznic, obchodów, przygotowywanych przez miejscowe władze, występowałyśmy na zakończeniu tzw. szkół zdrowia baw- lińskich rencistów w willi Tolla. W którychś momencie spostrzegłam, że nie mam czasu dla Ani, a stopy zeszły z zadaniami kla- sowymi ciągle leżą. Wtedy znowu przy- pominałam sobie szybko o podstawowych obowiązkach: nauczycielki i matki.

Anie chowam ostro, bez niepotrzebnego mazaństwa, bez dopominania się o ado- rację, niestety, łapie się coraz częściej na tym, że „cierpie” za nią po cichu i staram się to „nieszczęśliwe życie” ośłodzić jaki- mi przyjemnościami. A więc: celebrazja imienia, urodzin, Mikołaja, Gwiazdki... Przez ostatnie siedem lat nie zdarzyło mi się mieć pieniędzy po dwudziestym piąt- mu. Ostatni tydzień przeznaczam na kon- templację. Nie widzę sklepów, siedzę w domu, czytam książki z domowej bibliote- ki, czyli „wyrabiam sobie charakter”. Wte- dy należycie planujemy wakacyjny urlop i skutkiem tych rozważań jest dokładne sprawdzenie terminu płatności ostatniej raty pożyczki.



Fot. Archiwum

Od niewesołych myśli w takich wypad- kach ratuje, jak zwykle, praca. Wiele: po- tarzam pomysły z redakcją aktualnego „Słownika gwary uczniowskiej”, urządzam kostiumowy „Sad nad Antygoną”, przygo- towuję kilka „rewelacyjnych” lekcji ze współczesnego życia literackiego, obmy- ślam kolejną polonistyczną wycieczkę po- szlakiem twórców młodej polszczyzny, robię szkic nowego programu literackiego. I... już jest dobrze.

— Niunka, nie marudź, nie widzisz, że padam?

Ale zdarza się, że jest radośnie, miło i z nadzieją. Przenosimy się z zagryzionej stacji do spółdzielczego, nareście wla- snego mieszkania. Meble sporządzone z pa- czek będą stały w kuchni jeszcze przez trzy lata — ale kto by na to zwracał uwagę? Parkiet w pokoju pachnie na 30 cm, drzwi balkonowe się nie domykają, piekły gazowy w łazience trzeba natychmiast wy- mienić. Ale kto w takim dniu byłby mal- kontentem?

Pełnię już wtedy cztery funkcje, a wła- ściwie pięć: nauczam (czyż przedmiot?), je- stem instruktorem, przewodniczącą kon- ferencji ideowo-pedagogicznej, sekretarzem Miejskiego Komitetu SD i kierownikiem biura SD, no i oczywiście, mama.

Za namową swojej mamy rozpoczynam jeszcze studia poddyplomowe. W tym sa- mym czasie umiera mój ojciec, po strasz- nej pięcioletniej chorobie. Trochę za dużo tych przeżyć, ale jeszcze potrafię sprostać wszystkiemu. Z pogrzebu wracam na ma- turę poprawkową, spóźniwszy się tylko 5 minut. Trzymam się jeszcze przez dwa la- ta. Rzucać palenie, ale przestaje spać. Co- raz częściej sięgam po lek. Rezygnuję z in- tensywnej pracy partyjnej, jeżdżę do sa- natorium; postępująca nerwica zdaje się być silniejsza od mnie.

Jest taki miesiąc w moim życiu, że wy- chodzę z każdej lekcji, przynajmniej na 3 minuty, nie jestem w stanie prowadzić za- jęć. Postanawiam więc zająć się pracą na roli, zdobywam dżalę, pracuję jak galen- nik, nie mając przecież żadnego doświa- dzenia. Ale ulga jest tylko pozorna. Pozo- staje jeszcze myśł o nowym małżeństwie, jako ratunku ostatecznym, podparze w zmaganiu się z losem.

Katastrofa następuje nagle. Silne zapa- lenie wątroby i trzustki wytrącają mnie z życia zawodowego na cały miesiąc. Będę chudnął jeszcze przez kilka tygodni, ale zdołam przezwyciężyć kryzys.

Wracam do pracy odmłodzona, lżejsza o 15 kg. Powoli wraca sprawa samopoczucia. Walka o życie sprawia, że nabiera ono znowu nowych barw. Odpowiedzialność za los córki każe wybić się z tłuzu i miłoi- ci. Cześć, mamie jeszcze pobyt w sanato- rium, gdzie wracam zupełnie do zdrowia.

Latu roku 80 w niczym nie różni się od innych. Echa kryzysu i zamęt dościerają do nas z opóźnieniem (...).

Ania szybko przystosowuje się do nowej sytuacji, coraz rzadziej prosi o pieniądze i kupno nowych rzeczy. Bez zniecierpliwie- nia wystaje w kolejkach, sama znosi wie- ści o tym, co „przywiel”. Zaczynamy pro- wadzić rachunki z ołówkiem w ręku. Nie trzeba już zapędzać do lekcji, więc, że to nasza jedyna szansa na przyszłość — jej sukcesy cenię.

Podśmiewa się z moich „deklamacji” przed publicznymi występiami na uroczy- stościach szkolnych. Jest pierwszym recen- zentem plonienych mów i krytykiem no- wego uczesania i makijażu. Jeżdżymy ra- zem do Warszawy na spektakle teatralne z licealistami. A przed wyjazdem na „Pa- na Tadeusza” zaczynamy wieczorem czy- tać pierwszą księgę. Telewizor milczy przez cały tydzień. Zaczyna się na serio in- teresować poezją. Wyciąga z półki zbiorek wierszy Słaffa i przepisuje do zeszytu. Wspólnie redagujemy zeszyt z „aktualno-ściami”. W każdy wtorek wyprowadzam się z domu. Maluch ćwiczy na flecie i umiera co pięć minut ze martwienia, co to będzie na jutrzejszej lekcji, gdy pan zapyta aa wyrywki z pięciu piosenek.

Mama ma inne problemy: — Znowu nie ma zastępstwa za chorą sprzątaczkę! — Brakuje trzech osób w pracy. — Ancymon- nie złożyły znowu list chętnych na do- żywanie. — Termos z mlekiem cieknie i nie ma żadnego mądrego, który by pora- fili go naprawić. — Dziennik la nie został uzupełniony już od 2 tygodni. — Maturzy- ści wymyśliли dekorowanie sali gimnastycz- nej „tylko” w ciągu dwóch tygodni. — Na paprocie trzeba czekać, aż urosną, jeszcze ze dwa miesiące, a tymczasem na koryta- rzu pusto, smutno. — Nie udało się kupić zasłon do pracowni, ponieważ nie można otrzymać rachunku.

Po niedzielnym serialu w telewizji ma- ma zastanawia się, ile będzie musiała w tym tygodniu napisać kart zatytułow- nych: „zmiana w planie zajęć”, na ile pism przysyłanych po terminie odpowiedzieć natychmiast, ile wysłuchać genialnych po- mysłów doradców, nowo powstających Rady Samorządu, ile zlekceważyć niepo- ważnych poleceń władz miejskich, jakich dobrać argumentów, by przekonać kierow- nika administracyjnego o konieczności u- mieszczenia klasy do pracowni w specja- lnej gablocie, ile wytrzymać spojrzeń i in- wazyjności, ile wytrzymać koleżeńską po- fachu, wychodzących demonstracyjnie na zajęcia w 8 minut po dzwonku.

Na razie mama jeszcze wierzy w to, że robi słuszenie i w miarę mądre.

Czy wystarczy sił i energii do realizacji pomysłów? A przede wszystkim, czy znaj- dzie ludzi pomocni, wspierający, nie za- staniający się wizytówką totalnej niemó- żności? Czy uda się pogodzić dalej troskę o okaleczony dom z troską o szkołę?

„BARBARA”

NAGRODA III W FARTUCHU NA UNIWEREK

Właśnie zakończyliśmy wszystkie czyn- ności związane z podsumowaniem półrocz- nej pracy w szkole. Czuję się bardzo zmę- ciona i jakoś tak mi „mniej wesoło” na sercu. Wprawdzie moja klasa (VIIIa), któ- rą prowadzę już piąty rok, „wyszła” do- brze, są tylko trzy pojedyncze dwójki, kon- ferencje i zebrania z rodzicami przebie- gały bezboleśnie i rytm pracy w szkole jest prawidłowy. Ale ciągle prześladowa- mnie jakaś dokuczliwa myśl, obsesja nie- mała, że to już nie to, co było kiedyś, że może należało lepiej, energiczniej i skutecz- niej rozwiązać ten czy ów problem. Lata, po prostu lata — lata życia i lata pracy... Może zwyczajnie wypaliłam się w tym ogn- iu pedagogicznym?

Mam prawie 51 lat, 29 lat pracy w szko- le, z tego piętnaście na stanowisku zastę- pcy dyrektora. Odebrałam wykształcenie dość typowe dla mego pokolenia: matura ogólnokształcąca, trzyletnie studia, a po- tem (po dziesięciu latach pracy w zawodzie) zaoczne dwuletnie studia magisterskie. Je- stem polonistką.

Pierwsze lata pracy nie były dla mnie łatwe. Szkoła, dom, dwoje małych dzieci (w odstępie dwu i pół roku), ich cho- roby, różne inne kłopoty i problemy. Wie- czorem, gdy ułożyłam do snu swoje córki, zasiadałam do zeszytów, których jakoś ni- gdy nie ubywało, a wręcz przybywało. Zle- wozmywak wyglądał, jak szczyt góry, w łazience czekało cierpliwie pranko. Mąż ma- ło interesował się dziećmi, pracował nau- kowo.

W bardzo trudnych warunkach materia- lnych wychowałam dwie córki. Na szczęście chciały się uczyć, pokończyły wyższe studia, a młodsza, Ania, jest też nauczycielką.

A w szkole? W szkole dosyć szybko, „od- kryto” mnie przy organizowaniu imprez

NAGRODA III

NIE POMAGAŁY „CICHE DNI”

Ileż to lat już upłynęło, gdy w szkole podstawowej po raz pierwszy drżącym gło- sem wypowiadałam „— Przyrzekam całym życiem służyć Tobie Ojczyzno...”, gdy po raz pierwszy przypięto do mojego przy- ciasnego munduru krzyż harcerski. Pomi- mo różnych burz pozostałam mu nadal wierna. A wszyscy wokół mnie sądzili, że „to” minie, gdy skończy szkołę, gdy będę musiała żyć rytmem sesji i egzaminów, gdy rozpoczne swoją „karierę” nauczycielską. Ale ta młodzieńcza pasja nie ustąpiła. I zamiast brać przykład z pań poważnych, na których widok uczniowie czuli swoisty res- pekt, ganiałam ciągle po podrzędowskich lasach, organizując bieg patrolowy lub bi- walk...

Rodzice z początku kręcili nosem, gdy przychodzili do mnie uczniowie-harczerze, bądź to z jakimiś problemami, bądź też, ot, tak, z gitarą, aby razem coś tam sobie

uczniowskich, akademii przy urządzaniu i przeprowadzaniu konkursów czytelniczych i recytatorskich. Byłam opiekunką samo- rządu szkolnego, przewodniczącą zespołu samokształceniowego polonistów, no, i za- wsze uszczęśliwiano mnie protokolowa- niem tych najdłuższych i bardzo złożonych posiedzeń rady pedagogicznej. Gdy czasem się buntowałam, że przecież obowiązuję ja- kąś kolejką przy tym nieszczęsnym proto- kółowaniu, zawsze słyszałam: „a któż to lepiej od pani zrobi?”. Wówczas kapitu- łowałam, właśnie chyba dzięki temu chwa- leniu umiałam sprostać tyłu obowiązkom zawodowym i domowym. Jest więc w mo- jej naturze sporo próżności! Zawsze przez pochwały dawałam się wciągać w różne dodatkowe akcje. W domu to samo! „Nikt nie gotuje tak jak moja żona” — to było jakieś wyzwanie, a więc starałam się jak mogłam i jakoś to wychodziło.

Aby dostać się na dwuletnie studia ma- gisterskie, trzeba było zdać konkursowy egzamin. Na dodatek nikt nie umiał mi powiedzieć, czego się uczyć, co powioryć, jakie przeczytać pozycje. Otoczyłam więc sprawę tego egzaminu gęstą mgłą tajem- nicy i w miarę swoich możliwości uczyłam się tego i owego. Przede wszystkim prze- rzałam trochę nowości, „wgrzyzałam się” w poezję współczesną i śledziłam prasę lite- racką. Dziś wiem na pewno, że zdałam się raczej na los szczęścia, pamiętając, że nigdy dotąd nie „obałam” żadnego egza- minu. No, i jakoś się udało! A więc do moich dotychczasowych obowiązków przy- bił jeszcze jeden. A ze względów ambicio- nalnych trzeba było te studia skończyć i nie zbłądzić się. Były to potwornie ciężkie dwa lata. Ileż razy rzucałam książkami o ziemię, plakałam ze złości i strachu, a po- tem znowu uczyłam się jak opętana. Led- wie przyłożyłam głowę do poduszki, już trzeba było wstawać. A gdy dostałam trzy- tygodniowy urlop na napisanie pracy ma- gisterskiej, to właśnie wtedy Ania miała wstrząs mózgu i trzeba ją było pielegno- wać, zabawić. Te moje studia przewró- ciły dom do góry nogami.

Do anegdot rodzinnych można zaliczyć pewną moją przygodę z tego okresu. Pro- sto od garów pojechałam któregoś dnia do „Jagiellonki”. Po rozebraniu się w szatni wyruszyłam schodami na górę do katalo- gów i czytelni. Zastanawiałam się, dlaczego wszyscy na mnie patrzą z dużym zaintere- sowaniem i ciekawością. Dopiero po trzech godzinach zorientowałam się, że paradu- je w kuchennym fartusku nie grzeszącym ani wykintem, ani... czystością.

Szkolnych obowiązków nie mogłam jed- nak odwieść na przysiółkowy kolek. Tak więc na stole, przy którym pracowałam, ku- mały się ze sobą magisterskie fiski z kla- sówkami uczniowskimi, a „pani” siedzia- ła nad tym wszystkim z chmurą na czole,

NAGRODA III

NIE POMAGAŁY „CICHE DNI”

pośpiewać... Teraz już machnęli ręką i nie widząc perspektywy naprawy „zatwardzia- lego grzesznika”, czasem tylko przy ja- kiejs rozmowie pukają się znacząco w czo- ło.

Nie zmieniło mnie też małżeństwo i ma- tierzyństwo. Męża od początku denerwo- wała moja krótsza lub dłuższa nieobecność w domu. Nie pomagały awantury i „ciche dni” — mnie zawsze coś gnalo do dzieci. Swoje postępowanie tłumaczyłam tym, że w stosunku do najbliższych ponoszę mniej- szą winę, zaś „moja” dzieciarnia byłaby przeze mnie oszukana, czułaby się rozgo- rczona i zawiedziona...

A mój syn? On jeden z całej rodziny uwielbia wprost widzieć swoją mamę w mundurze, przepada za piosenkami i pła- niami wychowymi. Zresztą każde moje wy- jście do „mundurowych daści!” komentuję mu zaraz po przyjeździe do domu. Obieca- łem mu, że jeśli będzie kiedyś w sobotę ładnie na dworze, a on nie będzie chory — to pojedzie ze mną na zbiórkę...

Dziś, po 8 latach pracy pedagogicznej, mogę otwarcie powiedzieć: „ta przygoda z «małolatami» nie poszła na marne”. Mam bowiem bardzo wielu serdecznych przyja- ciół. Ofiarowałam im swoje serce i siły, a oni przyznali mi „Szkarłatną Różę”, tyl- ko nie wiem dlaczego, bo naprawdę żad- nych rewelacji nie wprowadziłam do swej pracy zawodowej i społecznej (...)

Opadają mi ręce, gdy trzeba przekony- wać „wysoko postawione osoby” o sensie kameralnych imprez harcerskich i zuch- wych, o walce z wszelkimi masowymi

otoczona kłębam dymu (właśnie wtedy zacząłam palić) i pisała, skreślała, popra- wiała, śmiała się i plakała na przemian.

Z perspektywy lat patrzę na tamte dni i myślę o nich z rozrzewaniem, z dumą, z poczuciem własnej wartości i wspomina- jako coś niepowtarzalnie wspaniałego!

Wkrótce po skończeniu studiów do moich obowiązków społecznych przybił jeszcze jeden — podczas wyboru do Zarządu Dziel- nicowego ZNP zostałam członkiem ple- num. Biegałam więc co dwa tygodnie na posiedzenia, no i oczywiście, protokołowa- łam. Byłam także członkiem sądu koleżeń- skiego. W tym też czasie wydział oświaty powołał mnie na stanowisko zastępcy dy- rektora szkoły (wtedy — kierownika), a w 1969 roku Związek Nauczycielstwa Polskie- go wysunął moją kandydaturę na radną dzielnicowej rady narodowej. Podczas pierwszej sesji zostałam powołana na sta- nowisko członka prezydium DRN. Tych nieetatowych członków prezydium było troje: przedstawiciele PZPR, ZSL i ja — bezpartyjna.

Prace, jakie wykonywałam w tym cza- sie, były dla mnie nie tyle uciążliwe, co połączone z licznymi stresami i głębo- kim przeżyciami wewnętrznymi. Mimo po- zorów, jestem bowiem z natury osobą bar- dzo nieśmiałą i publiczne wystąpienie do młodzieży były zawsze dla mnie nie lada problemem, a tu trzeba było w ogromnych salach przemawiać do dorosłej i krytycz- nie nastawionej publiczności, odpowiadać na podchwytliwe pytania, na gorąco roz- wiązywać problemy i podejmować decyzje w sprawach, które dotąd były mi raczej odległe jeśli nie obce.

Kadencja trwała cztery i pół roku. Czy rzeczywiście sprawdziłam się jako rzą- dca i „matka dzielnicy”? Nie sadzę. Wpraw- dzie telefony urywały się od spraw naj- częściej trudnych do załatwienia, niektórzy niecierpliwi mieszkańcy znajdowali mnie nawet w szkole, w domu cała rodzina o- perowała specyficznymi pojęciami jak „masa towarowa” czy „substancja miesz- kaniowa” — ale ja jednak przede wszyst- kim czułam się nauczycielką.

Przed objęciem stanowiska zastępcy dy- rektora szkoły zawsze byłam wychowaw- czynią którejś z klas. Potem przez dzie- sięć lat nie pełniłam tych obowiązków. Ale pięć lat temu postanowiłam sprawdzić, czy jeszcze potrafię. Wzięłam klasę czwartą. Dziś moi uczniowie kończą szkołę podsta- wową i niejednemu dawno przerósł swoją pania. Kocham te dzieci. Po lekcjach po- magam najsłabszym właśnie do olimpiady polonistycznej. Chodzimy i jeździmy na wycieczki, uprawiamy wspólnie szkolny kwiatowy ogródek, rozmawiamy, dysku- tujemy i... ślegamy po gwiazdki!

„ALA”

NIE POMAGAŁY „CICHE DNI”

CD ZE STR. 3

sem teraz, po tylu latach, spotkam gdzieś młodego człowieka, który kłaniając się do-
da — „przecież pani była — moim kurato-
rem”.

Nie jestem już kuratorem z uwagi na obowiązki macierzyńskie, ale to nie ozna-
cza, że nie podejmę się tych obowiązków w przyszłości.

Obecnie coraz częściej sięgam po krople uspokajające. I nie z powodu kryzysu w Polsce, chociaż i on w jakimś stopniu od-
bija się na psychice człowieka, ale z po-
wodu bezradności wobec nowych obowiązków: matki i studentki. Chcąc dobrze pra-

cować w szkole, społecznie i być studentką, dużą część czasu poświęcam na wertowa-
nie książek, prasy, robienie notatek. A czy-
nię to wieczorem, gdy mój krasnal jak i inni domownicy pogrążeni są we śnie. Zatem ilość godzin przeznaczonych na od-
poczynek ciągle się zmniejsza.

Po pracy najchętniej chciałabym uciąć sobie drzemkę, a tu trzeba niezwłocznie naprawić rozebrane na części autko, ze-
szyć naddarte ucho misia, zrobić pranie, pocerować rzeczy dziecka. Jestem więc dla synka i matki, i ojcem, a to bardzo ciężko.

Praca zawodowa i społeczna przystąpiła mi dom, zrobiła wielką ryś w małżeń-
stwie, którego nie jest w stanie połączyć dwuletni chłopczyk. Mój mąż stwierdził kiedyś, że ja w domu byłam prawie go-
ściem, zaniedbywałam dom, nie byłam przykładną żoną i gospodynią. To jest, nie-
stety, prawda, straszliwie gorzka prawda. Obecnie mieszkamy osobno. A ja nic, nic nie zmadrzałam.

Ostatnio w czasie ferii zimowych wie-
lokrotnie uczestniczyłam w zakładowych choinkach, opowiadając dzieciom bajki, or-
ganizując zabawy i konkursy. I bardzo często jedyną zapłatą były gorące podzię-
kowania moich przyjaciół, którzy prosili mnie o pomoc w „balu”. Największą zapła-
tą były zadowolone buźki dzieci — wie-

działam wtedy, że jestem im potrzebna, że moje miejsce wśród nich. Czasem też otrzymywałam paczki ze słodyczami i to najbardziej cieszyło mojego synka.

Bywają też dni kiedy Rafałek widzi ma-
mę jedynie rano. No cóż, ma mamę-stu-
dentkę. Kiedyś dawno, dawno temu, studio-
wałam filologię rosyjską, jednak pewne okoliczności zmusiły mnie do przerwania studiów tuż przed ich zakończeniem. Dziś, po latach, wróciłam na uczelnię, na peda-
gogikę opiekuńczo-wychowawczą, co daje mi ogromną satysfakcję. Obklepałam się książkami, zza których mnie wcale nie wi-
dać i poznaję stopniowo tajniki resocjali-
zacji. Ale zdarza się i tak, że czytam, czy-
tam, a za chwilę zasypiam, no tak, po pro-
stu, zasypiam na parę minut. Ow niepla-
nowany sen przychodzi również czasem w czasie jazdy autobusem ze szkoły do do-
mu, ale trwa o wiele krócej, niż ten sen „książkowy”. Gdy wieczorem przychodzę do domu „pełna wiedzy” i z siatką zakupów — mój małuch już śpi. Widzimy się, jak już wspomniałam, rano i wtedy słyszę pe-
łen zdziwienia okrzyk: „O, mama jest!” Ale mama właśnie polyka szybko śniada-
nie, nie ma więc czasu na dłuższą zabawę czy ciekawą bajkę. Bawię się z nim 10—20 minut i pędzę do autobusu. Pozostaje nam sobota i niedziela.

Zdarza się też, że po powrocie z pracy zastaję karteczkę: „Akcja N-16”. Jest to umówione hasło, jakie zostawia koleżan-
ka z liceum, a obecnie pani psycholog z pobliskiej przychodni. Oznacza to, że wła-
śnie wtedy ma zapowiedzianą wizytę u jednego z młodych ludzi, którzy „opają”, u narkomanów lub kogoś z ich otoczenia. Od czasu do czasu biegnę na owo spotka-
nie po to tylko, aby móc porozmawiać z kimś, kto czasem tego bardziej potrzebuje niż magnetofonu kasetowego czy zagra-
nicznych ciuchów. Czasem coś z tych roz-
mów nam wychodzi. Ale, czasami tych roz-
mów po prostu nie ma, bo ten, z kim mia-
łyśmy rozmawiać, nie stawiał się i nawet nie wiadomo, gdzie jest.

Gdyby ktoś zapytał mnie: — Kiedy ostatni raz byłeś w kinie, teatrze, filhar-
monii, kiedy wesoło spędzałaś czas na po-
gaduszkach u znajomych i krewnych? — odpowiedziałabym słowami bajki: „Daw-
no, dawno temu...”.

Może gdyby doba miała nie 24, lecz 36 godzin. Gdybym nie miała babcyla spo-
łecznika, nie była nauczycielką, gdy-
bym nie była matką, studentką i po pro-
stu — gdybym nie nazywała się tak, jak się nazywam...?

„MIS”



„Waniec” — lioryt

D. Turejko

NAGRODA IV

CZY DŁUGO STARCZY SIŁ?

Swoją główną rolę zagrałam po raz pierwszy ponad dwadzieścia lat temu, gdy po liceum pedagogicznym podjęłam pracę jako wiejska nauczycielka.

Trafiłam do swej pierwszej szkoły cał-
kiem przypadkiem. Była to szkoła siedmio-
klasowa z kilkoma nauczycielami. Tak się
złożyło, że zostałam rzucona od razu na „głęboką wodę”. Mogę z całą pewnością

stwierdzić, że radziłam sobie całkiem dob-
rze, ucząc i wychowując dzieci przed po-
łudniem, a po południu... ich rodziców. Prowadziłam również, osiągając sukcesy, harcerstwo w tej swojej szkole, a także i bibliotekę.

Wystartowałam z wielkim zapalem i energią. Pierwsza wizytacja przyniosła mi dobrą ocenę, mimo że nie poprzedzały jej żadne konsultacje metodyczne.

Minał szczęśliwie pierwszy rok. W dru-
gim zaczęłam się przygotowywać do nowej roli — studentki wydziału zaocznego, gdy nieoczekiwanie umarła moja mama. Podję-
łam się jeszcze jednej nie planowanej roli — wychowania swej 9-letniej siostry. Wzięłam ją do siebie. Mieszkała ze mną, a więc utrzymywałam ją, opierałam, ubiera-
łam... Radziłam sobie nieźle.

Przeżyłam wtedy swą pierwszą miłość, która, niestety, zakończyła się dla mnie nie-
szczęśliwie. Mój ukochany poszedł za gło-
sem swej matki, która mawiała: „na cu-
dze bachory będziesz robił”?, mając, oczy-
wiście, na uwadze moją siostrę. Mocno przeżyłam rozstanie, ale wzięłam się w garść i zdałam egzamin wstępny na studia uniwersyteckie. Sił miałam dość.

Na drugim roku studiów poznałam me-
go męża. Zdecydowaliśmy, że wyprowadzę się do jego miasta. Nastąpiło to po pięciu latach pracy w mej szkole, gdzie zdażyłam już wrosnąć, użyć się z dziećmi, gronem

nauczycielskim, wsią. Miałam tu wielu przyjaciół.

Wyjechałam do męża; przybyła rola żo-
ny, a później matki. Nie zaniedbywałam też studiów. Ukończyłam je, gdy mój sy-
nek był już na świecie. Przez cały czas by-
łam czynną nauczycielką. Mało — godziłam swą pracę zawodową z rozlicznymi obo-
wiązkami społecznymi. Prowadziłam kółko artystyczne i opiekowałam się szkolną or-
ganizacją młodzieżową.

Rola żony — znaczyła również „głowę domu”, ponieważ mój mąż chorował. Pra-
ca do pewnego czasu była moją ucieczką od mego nieszczęścia. Prowadząc lekcje, starałam się „wylączyć” z domowych kło-
potów. Ale coraz bardziej niedomagałam. I stało się — musiałam na rok przerwać pracę. Urlop dla poratowania zdrowia. Miałam za sobą 14 lat pracy zawodowej.

Po roku powróciłam do normalnych obowiązków, tak jak „za dawnych lat by-
wało”. Jakoś tam sobie radziłam, choć by-
ło wyjątkowo ciężko. Zdarzało się bo-
wiem, że szłam do pracy po niesprzespanej nocy, wypełnionej „czuwaniem” nad cho-
rym mężem. W szkole też bywało mi trud-
nie. Obowiązki szkolne starałam się wy-
pełnić poprawnie; zresztą były one moją ucieczką, chociaż coraz częściej dawało się we znaki zmęczenie. Stawałam się konflik-
towa i bywało, że nie panowałam nad so-
bą, gdy zwracano mi uwagę. Nikogo prze-
cież nie obchodziły moje osobiste kłopoty.

Nadarzyła się okazja. Szkole przyzna-
wano etat pedagoga. Dyrekcja zapropono-
wała mi to stanowisko. Wydawało mi się, że to zeszyty, uczniowie — zmęczeni mnie i że funkcja bez lekcji będzie dla mnie łatwiejsza. Przeszłam na ten etat nie bez wahań i rozterek, ale i z małym entuzjaz-
mem. Jakże się pomyliłam. Okazało się, że ten rodzaj pracy mi nie odpowiada. Wstyd mi było przyznać się do tego. Chcia-
łam nawet odejść ze szkoły, w której zda-
zyłam przepracować „naście” lat. Nada-
rzyła się okazja, był wolny etat dla nau-
czyciela z moją specjalnością w sąsied-
niej szkole. Ustaliłam więc, że tam przejdę.

Tymczasem mój mąż był już nieuleczal-
nie chory. Dowiedziałam się o tym równo-
legle z moją decyzją o zmianie szkoły. Nie miałam sił, bałam się nowego środowiska. Zostałam.

— Wkrótce zmarł mój mąż, później oj-
ciec. Od trzech lat jestem sama z moim synkiem. Pracuję za dwu — na półtora eta-
tu. Niełatwo jest utrzymać samej dom i do-
rastające dziecko. Więc dwoję się i troję. Na razie starcza. Starcza też i sił. Na jak długo? Trudno powiedzieć. Już teraz by-
wają kryzysy.

A ja kocham swój zawód. Szkoła — to moje miejsce. Tu odnajduję siebie. Daje mi wiele satysfakcji.

„BACCARA”



Fot. Cz. Górski

PRZYBLIŻYŁ IM GWIAZDY

CD. ZE STR. 1

nej dokumentacji, bez projektów. Oczywiście, podglądał istniejące w Polsce planetaria zeissowskie, wiedział, jakie można osiągnąć efekty wizualne, jakie urządzenia należy w całej aparaturze zastosować. Konsultował się też z pracownikami o-wych planetariów. Ale to wszystko.

JAK JE BUDOWAŁ?

W roku 1977 nauczyciel fizyki, Zbigniew Solarz, otrzymuje polecenie służbowe: ma uczyć dodatkowo astronomii. Tak wypadło. Ktoś to musi robić. Astronomia, śpiew, rysunki, prace ręczne to w żargonie nauczycielskim „michałki”. „A ja z astronomii uczynię prawdziwy przedmiot” — postanowił Zbigniew Solarz. Bo już tak mu się w ponad dwudziestoletniej karierze pedagogicznej układało, że cokolwiek robił, to zawsze dokładnie i solidnie. Dążenie do perfekcji stanowiło zawsze cechę jego osobowości.

Niemal od razu założył szkolne koło astronomiczne, wraz z uczniami kompletował pomoce naukowe, głównie przyrządy do obserwacji ciał niebieskich oraz mapy i atlasy astronomiczne. Niebawem na korytarzu powstał kąciak astronomiczny, a w nim między innymi obrotowe mapy nieba i liczne tablice poglądowe. Są to zaczątki tradycji astronomicznej w liceum Chrobrego. Z inicjatywy Zbigniewa Solarza na frontonie szkoły umieszczono zegar słoneczny, jedyny w województwie piotrkowskim. Profesor Solarz stwierdził, że na pomysł z tym zegarem wpadł uczeń w czasie ćwiczeń z gnomonem. Na marginesie warto dodać że nieco wcześniej przed budynkiem szkoły ustawiono pomnik Mikołaja Kopernika wykonany z odlewu dostarczonego przez znaną rzeźbiarkę Ludwikę Nitschową (jest to kopia wykonanego przez nią pomnika wielkiego astronoma; oryginał znajduje się w Montrealu). Także w tym czasie profesor Solarz zaczął organizować wycieczki do planetariów. Jego uczniowie wystartowali na olimpiadach astronomicznych.

Ale Solarz nie należy do ludzi, którzy mówią: stop, skończyłem. Sposób demonstrowania sklepienia niebieskiego, prezentowanie gwiazdozbiorów na płaskiej powierzchni, ekranie, ścianie już nie bawiło piotrowskiego nauczyciela. Zastanawiał się, jak ukazać niebo tak, aby przypominało prawdziwe. Wniosek nasuwał się sam. Trzeba zbudować planetarium.

Był rok 1979. Pierwszego września przyszedł do szkoły i w gronie kilku uczniów

„nieopatrznie” zdradził pomysł. Chłopcy zaczęli skakać z radości. Zupełnie luzna propozycja potraktowali jako nieodwołalną decyzję — znali już swego profesora. W tej sytuacji nie mogłem się wycofać — mówi dzisiaj Solarz. Ale jak zbudować planetarium — nie miał wtedy najmniejszego pojęcia. Jedynym kapitałem były: złote ręce, talent do majsterkowania, dobra znajomość fotografii, elektroniki, urządzeń elektrycznych, także zdolności plastyczne (to właśnie on zaprojektował tarczę szkolną; napis przypomina stylizowanego orla). Ale czy to wystarczy?

Postanowił więc wystartować skromnie. Ot, zwykłe rzucanie nieruchomych obrazów nieba na kopułę. Takie wyważone podejście do sprawy chyba „uratowało” Solarza. Nie rzucił ryzykancko na szalę swego autorytetu pedagogicznego, nie skupiał uwagi na dalekosiężnym, nierealnym celu, lecz na tym, co był w stanie zrobić w danej chwili i za pomocą tego, czym dysponował.

METODA MAŁYCH ALE PEWNYCH KROKÓW

zadecydowała o ostatecznym zwycięstwie pomysłu Solarza. To wyjaśnia, dlaczego nie mógł oprzeć budowy planetarium na dokumentacji, na gotowym projekcie. Gdyby tak postąpił, to z pewnością dzieła swego do tej pory by nie ukończył. Nie dokumentacja mogła określić kształt planetarium, lecz to, jakimi materiałami i urządzeniami dysponował. Jeździł więc do Zakładów Przemysłu Optycznego w Warszawie po tak zwany złom soczewkowy, czyli wybrakowane elementy optyczne, szperał na złomowiskach zakładów pracy, zaglądał — dzisiaj tego nie ukrywa — do śmietników. Kompletował wszystko, co mogłoby się przydać do budowy planetarium. Wykorzystał plastikowe szpulki po niciach, metalowe pokrywki do słoików, pojemniki po dezodorancie, a nawet — jak twierdzą uczniowie — sprężynę z własnego łóżka. Montował poszczególne elementy na zasadzie prób i błędów, tak długo, aż uzyskiwał maksymalny efekt.

We wstępnej fazie musiał skupić uwagę na dwóch zupełnie niepokrewnych sprawach: nie tylko zabiegał o samą aparaturę, ale też zastanawiał się, jak zbudować kopułę. To był prawdziwy problem. No i wtedy w sukurs przyszedł uczeń. Przyniósł z domu parę płytek polietylenowych. Okazało się, że jest to idealny materiał na kopułę, lekki i mocny. Nauczyciel i uczniowie budowali ją trzy mie-

siące. Niestety, pomieszczenie przeznaczone na planetarium nie miało pełnych sześciu metrów szerokości, więc trzeba było kuć wnęki w dwóch przeciwnych ścianach. Dyrektor szkoły, Zenon Bartczak, zaglądał do sali z niepokojem. A nuż skończy się to zwykłym zrujnowaniem pomieszczenia. Ale wiedział, że Solarz jeszcze nigdy w swojej dotychczasowej pracy nie zawiodł, więc sceptycyzm dusił w sobie.

Gdy powstała wreszcie kopuła, Solarz nabral wiatru w żagle.

MOĞŁ JUŻ EKSPERYMENTOWAĆ

Najpierw podziurkował czarny papier i podświetlał go od dołu. Potem umieścił rzutnik w podziurawionym czajniku. Wreszcie zmontował specjalną kapsułę, w której ostatecznie zainstalował 24 rzutniki (projektory), idealnie zestrojone, zawierające negatywy obrazu nieba, czyli niewielkie, okrągłe, odpowiednio podziurkowane płytki z folii miedzianej. Dziurkowanie tych blaszek wymagało benedyktyńskiej cierpliwości. Zbigniew Solarz najpierw kopiował mapy astronomiczne, potem fotografował kopie, a następnie robił odbitki w kształcie owych miedzianych płytek. Właśnie owe odbitki służyły za wzór do nakłuwania folii miedzianej. Nauczyciel otwierał układ gwiazdozbiorów i wielkość gwiazd za pomocą specjalnie zaostrojonej igły i lupy. Ta ostatnia była niezbędna. Aby na przykład zademonstrować Plejadę, małą grupę siedmiu gwiazd w Gwiazdozbiorze Byka, musiał odpowiednio nakłuć płytkę na niecałym milimetrze kwadratowym uwzględniając, oczywiście, odległości pomiędzy poszczególnymi Plejadami, a także ich wielkość.

Solarz może obecnie pokazać w swoim planetarium 6 tysięcy gwiazd. Aby wykonać także liczbę nakłuć, nauczyciel poświęcił wiele miesięcy, w tym także wakacje letnie. Z tym, że zanim doszedł do wprawy, czynność tę powtarzał co najmniej 100 tysięcy razy.

Kolejny krok (chyba już niemający to sprawienie, że oglądany obraz nieba jest w ruchu. A więc zgodnie z tym, co dostrzega człowiek z Ziemi, patrząc na firmament niebieski. Opracowany przez nauczyciela układ elektryczny, składający się z 10 silników, 10 transformatorów oraz niezliczonej ilości kabli, uruchamia całą aparaturę, w tym przede wszystkim projektory, których w sumie jest 50. A więc oprócz gwiazd można zobaczyć w piotrkowskim planetarium wschód i zachód Słońca, zaćmienia Słońca i Księżyca, planety, meteoryty, komety, sputniki, zorzę polarną (efekt zorzy jest bardzo trudny do osiągnięcia; nie wszystkie planetaria mają urządzenia do jego demonstrowania). Do celów wyłącznie dydaktycznych wprowadził także rzutniki współrzędnych astronomicznych, znaków zodiaku, rysunków gwiazdozbiorów, a nawet rzutnik specjalnej strzałki do wskazywania obiektów astronomicznych „palcem”.

Profesor Solarz mówi tak: Po cóż miałbym robić to planetarium, gdyby nikt nie mógł się do niego dotknąć. Mówiąc o prawie do dotknięcia, miał na myśli uczniów. Od samego początku wciągał ich w swoją idee fixe. Uczniowie mnie inspirowali, mobilizowali, podnosili na duchu — mówi Solarz. — Byli między nami także różnice zdań na temat rozwiązań konstrukcyjnych. Zmuszali mnie do większego wysiłku umysłowego i fizycznego.

Nauczyciel skupił wokół siebie sporą, ponad dwudziestoosobową, grupę autentycznych entuzjastów astronomii. Należy do nich Rafał Czekala, maturzysta. Bedzie w tym roku zdawał na astronomię. Przyszedł do liceum Chrobrego w 1979 roku i od razu włączył się do prac przy budowie planetarium. Mówi, że zna je lepiej niż własną kieszeń. Przeczytał kiedyś, jak twierdzi, książkę swego życia, „Pierwsze trzy minuty” Stevena Weinberga. O narodzinach Wszechświata. Być może, przyznaje, gdyby nie profesor Solarz i planetarium to jego zainteresowania astronomią przeminałyby z wiatrem.

Erudycję Rafała mogiem podziwiać w czasie seansu. Obsługiwał aparaturę i jednocześnie komentował obraz nieba. Wykazał się przy tym znakomitą znajomością antyku.

Trzej uczniowie, Rafał Czekala, Przemysław Duda i Waldemar Firlej pełnią w szkole funkcje techników planetarium. Do ich obowiązków należy prowadzenie seansów, obsługa aparatury. Inni uczniowie są przysposabiani do tej funkcji, bardzo zaszczepionej, wzbudzającej respekt rówieśników.

W OCENIE MŁODZIEŻY

Prawie każdy uczeń przeze mnie indagowany przyznawał, że dzięki profesorowi zmienił w sposób zdecydowany swój stosunek do astronomii. To rzeczywiście bardzo ciekawa dziedzina wiedzy z licznymi afiliacjami (mitologia, antyk, filozofia, literatura itd.) i w dodatku, z uwagi na loty kosmiczne, przeżywająca renesans. Waldemar Firlej podziwiał u nauczyciela przynajmniej dwie rzeczy: — Od profesora można nauczyć się naprawdę wiele, profesor zna się na wszystkim. Po drugie, w stosunkach z uczniami jest „kontakowy” — Weźmy choćby to planetarium — zauważa Waldek — na początku miało ono być bardzo proste. Ot, zwykłe demonstrowanie gwiazdozbiorów na kopule zamiast płaskiego ekranu. Wiec my też wypowiadaliśmy swoje zdanie. Pan Solarz zawsze się z nim liczył.

Rafał Czekala: — Cierpliwość — to mi imponuje u profesora. Staram się go w tym naśladować. A poza tym jak coś powie, to zawsze robi to konca.

Andrzej Chelpa: — Profesor we wszystkim jest bardzo dokładny. Wszystko u niego jest przemyślane. I jeśli nawet z góry wiadomo, że dana rzecz będzie zmieniona, to też ją wykona dokładnie.

Waldemar Firlej: — Na inauguracji planetarium jeden pan, chyba z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zapytał czy pan Solarz nie sprzedałby planetarium. Podał cenę: 3,5 mln zł. Akurat profesor wyszedł, więc wstałem i powiedziałem: jeśli dobrze znam pana Solarza, to się nie zgodzi za żadną sumę.

★

Uczeń dotknął sprawy, która bulwersuje najbliższe otoczenie nauczyciela. Oto przed Solarzem otworzyły się wrota kariery, a on nie chce z tego skorzystać. Nawet katedry uniwersyteckie mu ofiarowywano. Nie jednak nie może go ruszyć ze szkoły, w której przepracował już 28 lat (jest to jego jedyne miejsce pracy). Wyznaje, że najbardziej go irytują ci, co mówią: opatentowałbyś, zarobiłbyś. Po pierwsze — zauważa Solarz — żeby opatentować, musiałbym na długie miesiące wyłączyć się z dalszych prac nad udoskonalaniem planetarium i zająć się papierkową robotą. To mnie nie bawi, bo widzę, jak jeszcze dużo można zrobić, ciągle doskonalać. A poza tym, czy ktoś, kogo pasjonuje odkrywanie nieznanych lądów, pyta, ile mu za to zapłaci.

Podejrzewam jednak, że Zbigniew Solarz nie opuszcza swojej szkoły po prostu dlatego, iż nie chce tracić klimatu, któremu tak wiele zawdzięcza. Stworzył dzieło naprawdę doskonałe, chociaż przez skromność temu w słowach zaprzecza. Jego twórcza postawa zyskała mu uznanie nie tylko w Piotrkowie. Ale właśnie w Piotrkowie ma swój mikroklimat do ciągłego poszukiwania czegoś nowego, tworzenia

WITOLD SALAŃSKI

P.S. Zbigniew Solarz będzie reprezentował województwo piotrkowskie na ogólnopolskim zjeździe nauczycieli nowatorów, który odbędzie się w kwietniu br.

BYDGOSZCZ

NOWE IDZIE I TO DOBRZE!

Wiedza sąsiedzi, jak kto siedzi. W kulisach odbywającej się 15 marca br. konferencji programowo-wyborczej Związku Nauczycielstwa Polskiego przy Wydziale Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy, szeroko komentowano przebieg obrad podobnego gremium w siedzibie sąsiedniego województwa, Toruniu. Wyrażano nawet przypuszczenia, że — podobnie jak torunianom — nie uda się zakończyć konferencji w ciągu jednego dnia.

Komitet Założycielski, któremu przewodniczył **Wacław Kaźmierczak**, wprowadził do życia wiele starań, by przezycieć istniejące w Bydgoszczy podziały w różnych grupach pracowników oświaty, lecz cena tych wysiłków miało być położenie akcentu na nowe oblicze nowego związku — bez szerszego nawiązania do poprzedniej spuścizny ZNP. Nie wszyscy tu poprzednio opowiadali za tą nazwą i dotychczasową siedzibą związku. W odpowiedzi podkreślono jego dostępność dla „związkowców o różnych poglądach”. Wszelkie chwasy okazały się, na szczęście, w znacznej mierze bezpodstawne.

Konferencja, której zaplecze przygotowano bez zarzutu pod względem organizacyjnym w miejscowym Ośrodku Usług Pedagogicznych i Socjalnych (jego dyrektorem **Henrykowi Owsianemu**, Komitet Założycielski złożył za to publiczne podziękowanie), przebiegała bardzo sprawnie. Miara docenienia rangi obrad był udział przedstawicieli władz partyjnych i administracyjnych miasta, a także kuratora oświaty i wychowania w Bydgoszczy, **Stanisława Staszyskiego**. Reprezentant administracji oświatowej, bydgoski inspektor szkolny **Jerzy Palacz**, przedstawił delegatom stan szkolnictwa w mieście, plany podziału funduszu socjalnego oraz działania, podejmowane m.in. na rzecz zdobywania dla pracowników większej liczby mieszkań i działek pracowniczych.

Nie wygląda jednak — mówiąc ogólnie — na to, aby poczynania administracji oświatowej na różnych polach, w tym i socjalnym, oceniano w środowisku jako wystarczające. Wątpliwym — np. mieszkaniowym — zaznaczono wstępnie w referacie programowym, przygotowanym na konferencję przez Komitet Założycielski. Podkreślono, że przy rozwiązywaniu tej kwestii związkowcy liczą na bliższe kontakty z władzami miasta oraz na szybkie wznowienie inwestycyjnej działalności

przez tutejszą, znaną z dobrych efektów pracy, Nauczycielską Spółdzielnię Mieszkaniową „Znicz”. (W istocie trudno bowiem przypuszczać, by przytoczona przez inspektora szkolnego decyzja prezydenta miasta o przekazywaniu tylko w nauczycielskie reze lokali zwalnianych przez nauczycieli oraz zapowiedź rozmów, których celem byłoby uzyskanie przydziałów kilku mieszkań spółdzielczych, mogły cokolwiek tutaj rozwiązać).

Związek — jak podano w referacie programowym — uważając się za Oddział ZNP w Bydgoszczy, zamierza kontynuować i rozszerzać program socjalny i kulturalny, zaś w konsultacjach z administracją wpływać na taki kształt plac, aby stanowiły one zwarty system motywacyjny. Również przy podziale miejsc czasowych i kolonijnych zapowiada się preferencje dla tych pracowników oświaty, którzy wyróżniają się zaangażowaniem w pracę, nie tylko dla pedagogów.

Taki program powinien przyciągnąć do nowego związku — jednego dla całego miasta — kolegów poprzednio zrzeszonych w różnych organizacjach związkowych. Tym bardziej że — jak podkreślił przewodniczący Komitetu Założycielskiego — nikt nie pyta o przeszłość organizacyjną obecnych członków ZNP. Spośród 7850 pracowników oświaty w tym mieście, w połowie marca nowy związek zrzeszał prawie co czwartego. Ale potroił już szeregi od reestracji, czyli od końca grudnia ub. roku. Zawdzięczać to trzeba aktywnej postawie Komitetu Założycielskiego. Upowszechnienie programu działania ZNP i chwał konferencji — do czego zobowiązano podczas obrad delegatów — też odegra w tej dziedzinie, jak można sądzić, nie małą rolę.

Przebieg konferencji najlepiej charakteryzuje ostry, krytyczny ton wystąpień ogromnej większości dyskutantów. I tak np. młody nauczyciel ze Szkoły Podstawowej nr 10, **Krzysztof Pawłowski**, upomniał się o dostrzeganie trudnej sytuacji bytowej grupy, wkraczającej do zawodu informując, iż — jak przekonał się z rozmów z rówieśnikami — wielu świeżo zatrudnionych już myśli o zmianie profesji, bo szkoła nie zapewnia im podstaw bytu dla rodziny. Doświadczona nauczycielka, **Elżbieta Żurawa**, z troską sygnalizowała utrzymującą się dwutorowość postaw i ocen domu i szkoły.

I sekretarz KZ PZPR środowiska pracowników oświaty i wychowania, **Zenon Imbirowski**, wskazał na zbieżność działań partii i samorządnych, niezależnego ZNP. Stwierdził m.in., że w Bydgoszczy krytycznie ocenia się znaczny, niestety, konserwatywny myślenie cechujący poczynania części urzędników ministerstwa. Prestiż nauczyciela nadal obniża się m.in. wskutek jawnych dysproporcji płacowych, np. kandydatowi na motorniczego w MZK, absolwentowi szkoły podstawowej, oferuje się dziś znacznie wyższą stawkę, aniżeli może otrzymać pedagog po szkole wyższej. Pogłębia się kryzys kadr, mieszkań, bazy oświatowej... Instancje partyjne będą teraz razem z ZNP zabiegać o przełamanie tego impasu. Również bydgoski KZ, przekazując

centralnym władzom partyjnym wnioski do decyzji w tych sprawach, pragnie opierać się na opiniach ZNP.

Postulaty w imieniu sekcji emerytów zgłosił jej reprezentant **Florian Znaniecki**, wnioskując m.in. zorganizowanie domu dziennego pobytu seniorów. Zwracając się do obecnego na konferencji prezydenta miasta, przy aplauzie sali, wnioskował, by dostępny dla nauczycieli kiosk-bufet w domu ZNP zaopatrzyć „podobnie dobrze, jak istniejący na ratuszu”.

Inny emeryt, **Stanisław Lisewski**, nawiązując do historii ZNP — zawsze walczącego o sprawiedliwe rozwiązania społeczne — wezwał do konsekwentnego przeciwstawiania się złu w każdej postaci i formie, ponieważ nowych związkowców nie pozyska się dziś jedynie pięknymi słowami. „Domagam się z tej mównicy m. in. udzielenia zasłużonej satysfakcji koleśce **Hanzlikowi**, byłemu prezesowi Zarządu Oddziału ZNP w Bydgoszczy. Człowiekowi temu władze oświatowe po grudniu 1981 r. nie przywróciły, niestety, poprzednio zajmowanego stanowiska dyrektora, lecz skierowały do pracy w internacie. Tego rodzaju decyzje wobec dawnych działaczy związkowych pogłębiają jedynie rozgorzczenie, budzą też niechęć do obejmowania dziś funkcji w ZNP” — powiedział przy burzliwych oklaskach delegatów.

Słowa te znalazły potwierdzenie podczas wyborów prezesa ZNP w Bydgoszczy. Kilkanaście osób zgłaszanych z sali na tę funkcję — m. in. wspomniany już kol. **Hanzlik** — nie wyraziło zgody na kandydowanie. Z trudem udało się zestawić listę wyborczą, a trzej kandydaci, przedstawiając się z sali, podkreślili, że nie mają żadnego doświadczenia związkowego i liczą jedynie na pomoc nowo wybranego zarządu. Znaczną większość głosów zyskała kandydatura, zaproponowana przez Komitet Założycielski, **Zbigniewa Korpalskiego**. Przy tym elekt, wola delegatów, przejść ma na etat związkowy, rezygnując ze stanowiska zastępcy dyrektora Szkoły Podstawowej nr 3. Konferencja, po dyskusji, ustaliła wysokość wynagrodzenia prezesa (dodatek funkcyjny nie niższy od pobieranego przez inspektora szkolnego).

Oprócz zarządu wybrano również Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński. Wypada dodać, że w 19-osobowym zarządzie kilku członków pochodzi z prawyborów w sekcjach pracowników obsługi oraz emerytów. Postanowienie statutu o takiej formie reprezentacji niektórych grup związkowców w zarządzie spotkało się z krytyką ze strony części delegatów, jako niesłusznie ograniczające wybory podczas samej konferencji. Prezes **Zbigniew Korpalski** wyjaśnił, że w warunkach spodziewanego powiększenia się liczebności związku umożliwi to — zgodnie ze statutem właśnie — dokończenie kolejnych reprezentantów poszczególnych środowisk pracowniczych.

JANUSZ TRZCIANKA

OPINIE

WRÓŻENIE Z FUSÓW

Nie w smak pracownikom zachodnich radiostacji, a zwłaszcza zatrudnionym w RWE, rozwój Związku Nauczycielstwa Polskiego. Nie chcą przyjąć do wiadomości faktu, iż w wielu województwach do ZNP zgłosiło już akces ponad 50 procent nauczycieli i pracowników oświaty i że z każdym dniem zgłaszają się nowi chętni.

Jaka jest przyczyna tego stanu rzeczy? Dlaczego zalecany przez panów z RWE bojkot związków zawodowych nie znajduje szerokiego posłuchu w środowisku oświaty i wychowania?

Otóż, odpowiedź na powyższe pytanie została znaleziona i ogłoszona. W audycjach radia „Wolna Europa” nadanych 10 i 11 marca stwierdzono, iż (cytuje): „W sytuacji, kiedy w naszym kraju brakuje — nowy związek nauczycielski o starej nazwie — stara się przyciągać i zjednywać sobie członków korzyściami materialnymi”.

A więc o wszystkim zdecydowała... kiełbasa wyborcza!

Nauczyciele i pracownicy oświaty, wstępując w szeregi ZNP otrzymują korzyści materialne. Jakże?... O tym panowie z RWE nie mówią.

I co Wy na to — Koledzy Związkowcy? Może któryś z Was zechce nam napisać, ile otrzymał za przynależność do ZNP. Dalibóg, taki list czy listy chętnie opublikujemy. Panowie z RWE mieliby wtedy konkretne dowody, że ich publicystyka zgodna jest z hasłem, iż mówią prawdę i tylko prawdę. (ZP).

NAMAWIAM DO REFLEKSJI

Oto rozmowa związkowca z niezrzeszonym w organizacji. Obie panie należą do tej samej branży nauczycielskiej. Koleżanka niezrzeszona bez żadnego skrepowania, śmiało, zwyczajnie jakby to chodziło o pogodę spytała:

— Czy wy tam, w tych swoich związkach, macie zamiar organizować coś na Wielkanoc? Chodzi mi konkretnie o jajka, bo nie wiem, czy pisać na wieś, żeby przygotowali świeże. Związkowiec odpowiedział pytaniem:

— A dlaczego ty nie wstąpisz do związku pomóc załatwić te jajka, tylko po gotowe wyciągasz łapę?

W odpowiedzi usłyszała, że po co wstępować do związku, przecież to nie ma żadnego sensu, czysta głupota. Znów oni wybiorą swoich ludzi i będzie tak samo jak dawniej. Poza tym, dopóki w sklepach się nie poprawi, to ona takie związki ma gdzieś.

Wiecej nie zrozumiałem, bo jak wiele u nas dyskusji na tematy polityczne i związkowe, i ta zakończyła się kłótnią.

Oberwało się i mnie, że stoję jak ciele i milczę.

Pewien rozdział w historii ruchu zawodowego w naszym kraju został zamknięty. Otwiera się kolejny, jakościowo odmienny etap. Nowe związki nie powstają

bynajmniej bezkonfliktowo, w radosnej, zgodnej i miłej atmosferze, kiedy wszyscy prawią sobie grzeczności. Temat wywołuje wielkie emocje. Rządziej, niestety, chłodne, spokojne myślenie w kategoriach grupowych, zawodowych, środowiskowych interesów i potrzeb. Za dużo w tym wszystkim uczucia, za mało rzeczowej kalkulacji.

Ta autentyczna w swej treści rozmowa dwóch nauczycielek sygnalizuje niebezpieczeństwa, jakie grożą odradzającemu się ruchowi związkowemu oraz problemy, jakie towarzyszą procesowi jego powstania.

Wielu z nas ma opory przed wstąpieniem do związku. Wielu stoi jeszcze z boku i obserwuje, nie dowierza, nie ufa. Przyczyn tego zjawiska są rozmaite. Pozostał żal, krzywdy, zawód, zaprzepaszczone (tylko — czy na zawsze?) nadzieje, oczekiwania, zamiary. Wielu poczuło się oszukanych, wyprowadzonych w pole. Bywa i tak, że niepopularna w środowisku osoba wstępuje do związku i już sam ten fakt nas zniechęca.

A wielu nie tylko stoi z boku, lecz także przeszkadza, świadomie szkodzi, w myśl zasady: im gorzej, tym lepiej. Dla kogo? W tym akurat przypadku działa zasada bumerangu. Bo z góry skazuje się związek na niepowodzenie. Jacyś tajemniczy oni przyjadą, zrobią wybory i ślad po nich zaginie. We władzach zostaną tzw. swoi, czyli ich ludzie, którzy robić będą krecią robotę. A my, niestety, jesteśmy bezbronni i zdani wyłącznie na ich łaskę. Nikt jednak nie chce wiedzieć i nie wie, kim są ci oni, nikt ich nie nazwał, bliżej nie określił. Czy to

produkt krajowy, czy też importowany? A prawda jest taka, że to my sami wybieramy władze związkowe, spośród siebie, nikt nas do tego nie zmusza. Przecież w gminie, mieście ludzie się znają. Wiadomo, kto jest kto.

Z góry też przesadza się, że „znów będzie tak samo”. Rodzi się pytanie: tak samo, jak przed sierpniem, czy po sierpniu? A to jakościowo zasadnicza różnica, z podobnym tylko skutkiem, któremu na imię krach. Czy dziś mamy się na to spokojnie godzić?

Rodzi się także niebezpieczeństwo spychania funkcji związku w opłotki, sprowadzenia jego działalności do roli zaopatrzeniowca w jajka, konserwy, cebulę, karpie itd. Takie ciagoty mają swoje uzasadnienie w schematach myślowych, ugruntowanych złą praktyką lat ubiegłych. Ciągłe wleczenie za sobą bagażu nawyków.

Organizacje związkowe na dobre jeszcze nie powstały, a zostały już przez część środowiska przekreślone lekceważącym machnięciem ręki. A kto pozostaje z boku, wypada z gry. Więc stanie obok szkodliwym środowisku. Paradoksem jest, że odrzucając z góry związek, chcemy jednocześnie od niego świadczeń, żądamy, aby domagał się, walczył o nasze sprawy. Związek niech załatwi, związek niech broni, bo od tego jest. Byle beze mnie. Po co tracić czas i nerwy, niech się szarpią inni.

O tym, jakie będą związki, zadecydujemy przede wszystkim my sami, czy tego chcemy, czy też nie.

Może ktoś odnieść wrażenie, że to co napisałem, jest agitacją za związkami. Otóż nie. Jest to myślenie o postawach. Czy obrażanie się na cokolwiek jest podstawą do zaakceptowania?

Namawiam nie do związku, lecz do rzeczowego myślenia, spokojnej refleksji, wyciągania logicznych wniosków z tak przebiegu żywej historii. Stanie z boku, bezczynnie to jakiś rodzaj śmierci. Bo nieobecni się nie liczą.

ŚLAWOMIR KOWAL

INFORMACJE

● We Wrocławiu w pięciu dzielnicach tego miasta, gdzie pracodawcami są wydziały oświaty, powstały ZNP, grupujące pracowników podlegających placówek. Osobny ZNP zorganizowano i zarejestrowano we wrocławskim Zespole Szkół Zawodowych Elektryczno-Mechanicznych. W województwie tym zarejestrowano także związki przy zbiorczych szkołach gminnych w: Długolecie, Cieszkowie, Żurawinie i Prusiacach oraz przy Wydziale Oświaty i Wychowania Urzędu Miasta i Gminy w Oławie. Uzyskały też rejestrację dwa ZNP z Oleśnicy — przy tamtejszej Zbiorczej Szkole Gminnej (38 członków) oraz przy Wydziale Oświaty Urzędu Miejskiego (blisko 200 członków).

Do Sądu Wojewódzkiego wpłynęło ponadto wnioski o rejestrację kolejnych czterech ZNP z miast i gmin Strzelin, Sobótka, Twardogóra i Kąty Wrocławskie. Rozpatrzenie tych wniosków przewidziano na początek marca br. Pierwszy kwartał zaowocował więc powstaniem 17 ZNP. Oznacza to znaczny wyłom w dotychczas często napotykanym przez grupy inicjatywne postawach wyczekiwania. (i.t.)

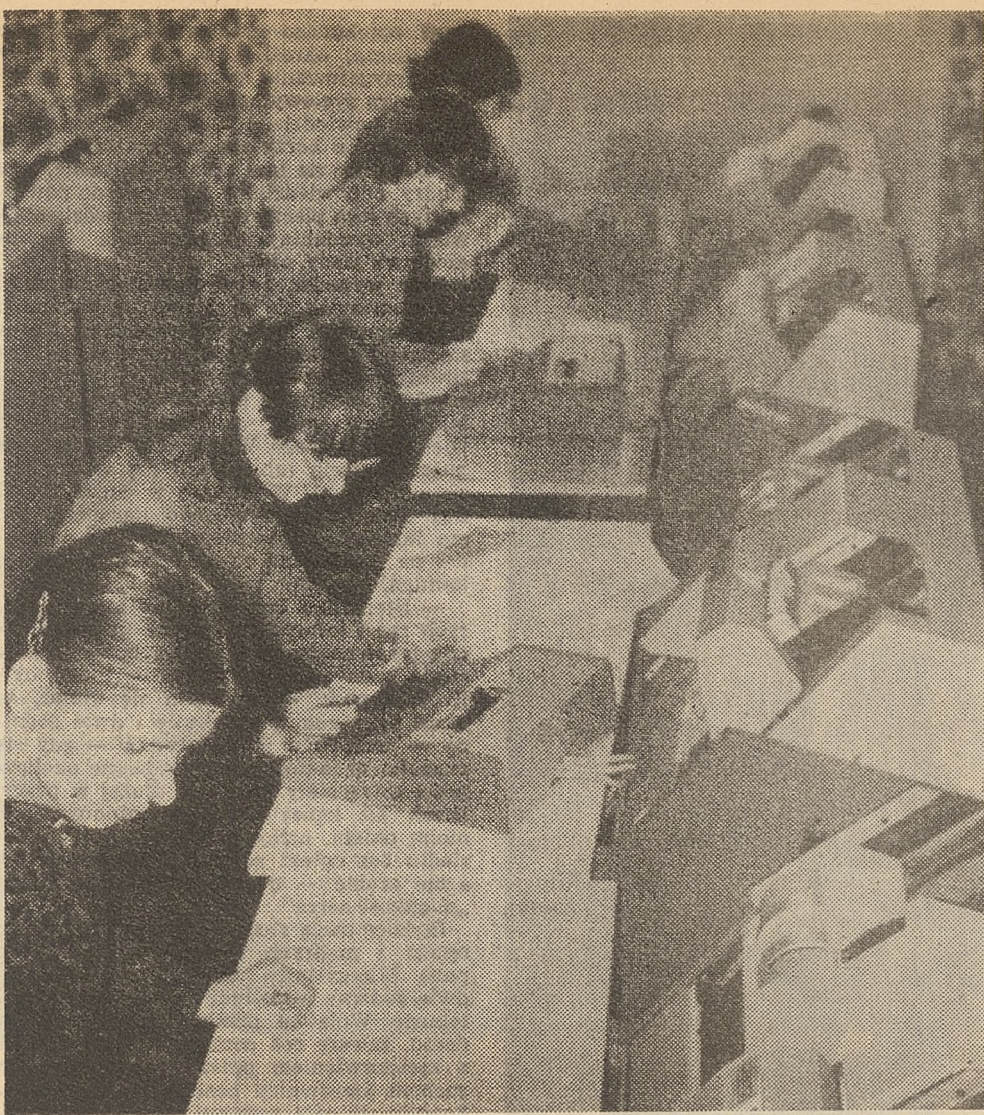
● 9 lutego 1983 r., na ogólnym zebraniu członków ZNP w Zbiorczej Szkole Gminnej w Blaszkach, woj. sieradzkie, wybrano szesnastoosobowy zarząd. W skład zarządu — którego prezesem został kol. **Janusz Nosai**, nauczyciel Szkoły Podstawowej w Blaszkach — wchodziła przedstawicielka wszystkich typów szkół oraz kolegowi emerytów. W wypadku, jeśli któraś z placówek oświatowych nie ma swego przedstawiciela w zarządzie, jej interesy reprezentuje mąż zaufania powołany przez zespoły tych placówek.

Na pierwszym zebraniu zarządu opracowano plan pracy, ustalono provizorium budżetowe, powołano trzy komisje problemowe (socjalną, kulturalno-pedagogiczną i finansowo-gospodarczą) oraz ustalono regulamin wypłat zasiłków statutowych. Warto podkreślić, że na ogólną liczbę 259 pracowników do ZNP należy 83 proc. (J.P.)

● 26.02.1983 r. odbyła się konferencja programowo-wyborcza ZNP w Przemyślu. Związek skupia nauczycieli, pracowników zatrudnionych w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych i emerytów z terenu miasta.

Na zebraniu wybrano zarząd związku i przyjęto program działania, który przewiduje między innymi:

- pełną realizację i przestrzeganie przepisów i uprawnień zawartych w Kartie Nauczyciela,
- czuwanie nad poprawą warunków mieszkaniowych i socjalno-bytowych nauczycieli,
- pełne wykorzystywanie ustawowych uprawnień związku w zakresie kontroli interpretacji przepisów i praworządności w stosunkach pracy. (Z.B.)



Fot. Cz. Górski

NOWY SYSTEM STARE KŁOPOTY

CD. ZE STR. 1

właśnie ocenę wystawioną uczniowi przez szkołę średnią, charakterystykę zawierającą informacje o jego uzdolnieniach, pasjach, osiągnięciach, również pozaszkolnych i pozadydaktycznych, a także o warunkach materialnych jego rodziny, o środowisku, z którego się wywodzi. Chodzi także o proces doradztwa pedagogicznego, jaki powinien mieć miejsce w trakcie nauki w szkole średniej. Finałem tak rozumianego postępowania kwalifikacyjnego ma być klasa maturalna, a następnie egzamin wstępny do uczelni wyższej. Jak widać propozycja ministerialna widzi w szkole rzeczywistość partnera, od którego wiele zależy, partnera, z którym nie można nie współpracować w taki czy inny sposób.

Oczywiście, nowe zasady przyjęć nie znoszą tej formy sprawdzianu wiedzy, jaką jest egzamin, powiedziałbym, iż nawet ją rozszerzają. Oprócz bowiem „zwykłego” egzaminu wstępnego, projekt dopuszcza możliwość poddania kandydata także dodatkowym sprawdzianom kierunkowym, niejako sprawdzianom jego uzdolnienia. Ponadto przewiduje prowadzenie tak zwanych rozmów kwalifikacyjnych, których celem miałyby być osobiste poznanie kandydata przez członków komisji egzaminacyjnej, a jednocześnie przyszłych jego nauczycieli akademickich. Rozmowa taka byłaby dodatkową formą poznania młodego człowieka, jego aspiracji, niektórych umiejętności.

Jak widać, nadal byłby to konkurs, ale tym razem rzeczywistość spełniający postulat wszechstronnego przeegzaminowania ubiegających się o indeks. Przez ów konkurs, przez wszystkie etapy tak pomyślanego postępowania kwalifikacyjnego, przejść powinni wszyscy kandydujący na studia. Dopiero suma składników (dać może podstawę do podjęcia decyzji, kto będzie studentem. Oczywiście, indeks otrzymają ci, którzy będą najlepsi, a jednocześnie zmieszczą się w limicie przyjęć na wydział czy kierunek.

W związku z tym, że tak rozumiana rekrutacja odbiega i to znacznie od dotychczasowych metod, proponuje się zrezygnować z takich określeń jak — zdał, nie zdał, nie przyjęty z powodu braku miejsc — i zastąpić je pojęciem — zakwalifikowany (lub nie) na studia. Osobiście sędzę, że akurat ta zmiana jest mało istotna. Ci, którzy przegrają w konkursie i tak będą traktowani jako osoby, które nie zdały, bądź nie zostały przyjęte.

Wieloetapowość procesu rekrutacji prowadzić powinna, zdaniem resortu, do połączenia w przyszłości egzaminu maturalnego z egzaminem wstępnym. Obowiązywałby wówczas jeden egzamin państwowy. Perspektywa to jednak jak na razie bardzo odległa.

Czy zatem to, o czym powyżej, będzie wprowadzone w życie już od przyszłego

roku akademickiego? Otóż nie. Byłaby to zbyt duża rewolucja jak na możliwości szkoły średniej, a także, jak się wydaje, i wyższej. Dlatego też proponuje się etapowe wprowadzanie elementów nowego systemu. W przyszłym roku akademickim (1984/85) wprowadzony więc zostanie tylko system dwuczynnikowy. Będzie on uwzględniał osiągnięcia ze szkoły średniej oraz wyniki egzaminu wstępnego. Ten ostatni, pisemny i ustny, stanowić zresztą będzie nadal podstawowe ogniwo rekrutacji.

A jak będzie się liczyć wyniki? Co z punktami za pochodzenie? — zapytają niewątpliwie czytelnicy. Tu też proponuje się duże zmiany.

Projekt resortowy zakłada, iż wieloczynnikowy system opierać się powinien na przejrzystej skali 100-punktowej. I tak za wyniki egzaminu wstępnego będzie można uzyskać maksymalnie 60—70 punktów, zaś pozostałe 30—40 można zdobyć za efekty pracy w szkole średniej. Jak będą w takim razie one liczone? Proponuje się otóż, aby dorobek kandydata z tego etapu nauki wyrażany był średnią ocen z ośmiu przedmiotów na świadectwie maturalnym — języka polskiego i obcego, historii, biologii, geografii, matematyki, fizyki i chemii. Dlaczego te przedmioty? Badania resortu wykazały bowiem, iż ci, którzy w tych przedmiotach są najlepsi, są jednocześnie wszechstronnie uzdolnieni, mają najlepsze podstawy wiedzy ogólnej. Projektodawca wariantowo proponuje jednak, aby na niektórych wydziałach mogły być brane pod uwagę przedmioty najbardziej przydatne dla studenta danego kierunku. W sumie można będzie uzyskać 100 punktów. Ale to nie wszystko. Pozostają bowiem jeszcze punkty preferencyjne uwzględniające tym razem zarówno pochodzenie społeczne, jak i warunki terytorialne, i środowiskowe kandydata.

W myśl nowych propozycji, stanowić one będą nie pewną stałą liczbę (dawnie 5 pkt.), lecz procent od uzyskanej już sumy punktów (egzamin wstępny plus wyniki ze szkoły średniej). Procent dlatego, aby preferencjom nadać bardziej zróżnicowany i dynamiczny charakter, ściśle powiązać je z własnymi osiągnięciami kandydata. Komu więc i ile? 20 proc. punktów już uzyskanych dopisywać się będzie młodzieży pochodzenia robotniczego zamieszkałej w małych osiedlach i miasteczkach, dzieciom z rodzin rolniczych, których rodzice pracują w państwowych, spółdzielczych i indywidualnych gospodarstwach, żołnierzom skierowanym na studia przez jednostki macierzyste, a także tym, którzy przepracowali co najmniej dwa lata w przedsiębiorstwach państwowych bądź spółdzielczych i mogą wylegitymować się pozytywną opinią uzyskaną w zakładzie. Tyle samo otrzymają także kandydaci z pozostałych środowisk społecznych, a zamieszkujący na wsi, pod warunkiem jednak, iż zdają na studia nauzyielskie bądź rolnicze. Jeśli natomiast wybiorą inne kierunki, wówczas uzyskają 15 proc. punktów dodatkowych. 15 proc. punktów uzyskają także dzieci z rodzin robotniczych, ale zamieszkujących w dużych miastach. I jeszcze jedno — punkty preferencyjne otrzymać można tylko z jednego tytułu, albo za pracę, albo za pochodzenie. Natomiast jak dawniej traktowani będą laureaci olimpiad, których nadal przyjmować się będzie na studia bez egzaminu.

Jak przypuszczam, gros czytelników w powyższych propozycjach zwróci uwagę na dwie rzeczy — wieloetapowość procesu rekrutacji oraz zmiany w przyznawaniu preferencji. Istotnie są to zmiany najważniejsze. Ale... O ile nie mam najmniejszych wątpliwości, że dobrze się stało, iż wreszcie czyni się coś, co ma za cel ściślejsze zintegrowanie całego procesu edukacji przyszłego inteligenta, o tyle niedosyt mój budzi rozwiązanie problemu właśnie preferencji. I w tej kwestii słów kilka. Myślę zresztą, że jak zwykle punkty dodatkowe wzbudzą zapewne zastrzeżeń najwięcej.

Po pierwsze, przyznanie preferencji młodzieży robotniczej zamieszkałej w dużych miastach zakrawa według mnie na kpinę.

Na kpinę nie tylko z dzieci innych grup społecznych ale także, a może najbardziej, właśnie z dzieci robotniczych. Preferencje w założeniu mają wyrównywać szanse startu młodzieży robotniczej i wiejskiej w wyścigu po indeks, mają być wyrównaniem dla tych, których droga do kultury, wyższego poziomu świadomości przypomina strumą ścieżkę pod górę; najeżoną przeszkodami, jakich nie zna raczej inteligent zamieszkały w Warszawie. Tymczasem 15 proc. punktów dodatkowych, to nie innego, jak uznanie, że wielkomiejska młodzież robotnicza, to w swej masie lenie, którym nie chce się iść do teatru, kina, na wystawę, choć mają to pod ręką niemal. O ile całkowicie popieram przyznawanie preferencji za pochodzenie z zabitej deskami wioski czy zapyziałego kulturowo miasteczka, o tyle w tej kwestii mam całkiem inne zdanie. Uważam, iż gorszą drogą na przykład do kultury ma dziecko referenta urzędu gminy gdzieś w Łomżyńskim niż dziecko hutnika z Nowej Huty czy Warszawy. Po drugie, nie mogę także zrozumieć, czemuż to syn nauczyciela wiejskiego ma uzyskać 15, a nie 20 proc. tylko dlatego, że chce się kształcić na innym niż nauczycielski czy rolniczy, kierunku? Osobiście znam takie nauczycielskie rodziny wiejskie, których dzieci mają o wiele gorszy dostęp do dóbr kulturalnych niż niejedno dziecko rolnika pracownika PGR (albo podstołecznej spółdzielni produkcyjnej). Po trzecie, zarówno młodzież robotnicza, jak i wiejska jest tak zróżnicowana, że aż się prosi o pewne wewnętrzne ograniczenia, ile i komu „dać”. W przeciwnym razie syn sadownika, w porównaniu z synem nawet robotnika wielkomiejskiego, uzyska raczej nienależne mu fory (nie ma sensu dowodzić kogo i na co stać) i po czwarte wreszcie, postulowałbym ściślejsze określenie, co należy rozumieć pod terminem: małe miasto, małe osiedle. A może lepiej byłoby mówić o preferencjach za oddalenia od centrów życia kulturalnego? Czemu by nie!

Preferencje są wyrazem klasowej polityki państwa socjalistycznego — czytam we wspomnianym projekcie Zgoda, są i być powinny. Ale czy muszą urzeczywistniać się w takiej właśnie formie, to jest dodatkowych punktów? Wobec licznej grupy młodzieży niewątpliwie tak, ale korzystają na tym także ci, którzy nie powinni mieć żadnych handicapów. Bo jest to po prostu niesprawiedliwe. Tym bardziej że wyrównywanie szans może dokonywać się innymi metodami, o których w tymże projekcie zresztą jest również mowa.

Nie mam na przykład najmniejszych „pretensji” wobec dwóch innych propozycji zawartych w projekcie. Wydaje mi się, że każdy z uznaniem przyjmie koncepcję egzaminu wstępnego o zwiększonej liczbie tematów do wyboru, które uwzględniałyby różnice programowe w liceach i technikumach. Bardzo dobrym, w moim mniemaniu, pomysłem jest także propozycja organizowania bezpłatnych konsultacji i wykładów przygotowujących do egzaminów wstępnych uczniów z rodzin robotniczych i chłopskich znajdujących się w szczególnie trudnych warunkach materialnych i środowiskowych. Osobiście jestem zdania, że ta właśnie forma pomocy ma przed sobą lepszą przyszłość niż jakiegokolwiek zmiany w systemie punktów preferencyjnych. Po pierwsze, jest to — jak sędzę — równie przekonujący wyraz troski o dostęp młodzieży robotniczej i chłopskiej do wyższego wykształcenia, po drugie — metoda o wiele mniej konfliktogenna.

I to właściwie wszystko, co nasuwa mi się po pierwszym czytaniu projektu zmian w systemie przyjęć na studia. Dobrze się stało, że został on opracowany, jeszcze lepiej, że przesłano go do konsultacji. W sumie daje to szansę wypracowania czegoś, co by wreszcie lepiej przystawało do wyrażanych w tych sprawach społecznych oczekiwań. Przynajmniej dopóty dopóki nie stworzymy takich warunków, które pozwolą przyjmować na studia każdego. A selekcja młodzieży robotniczej, inteligentnej, chłopskiej odbywać się będzie już w trakcie studiowania.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

INWESTYCJE OŚWIATOWE

WYSTARCZY NA PÓŁ SZKOŁY

Ile można dziś pobudować za 100 mln złotych? Pół szkoły, no, najwyżej jedną ale skromną, niewielką. Tymczasem w województwie Białą Podlaską taką właśnie sumę przeznaczono w roku bieżącym na inwestycje oświatowe. Dla uzmysłowienia sobie całej mizerii w tej dziedzinie wystarczy wspomnieć, że koszt budowy jednej tylko szkoły w Międzyrzeczu oblicza się na 190 mln złotych. A gdzie remonty kapitalne, których pilnie potrzebują wiele budynków szkolnych?

Przy takich nakładach na oświatę, nie tylko nie ma mowy o nadrobieniu zaległości, lecz istnieje — jak sędzę — poważna groźba dalszego regresu. Tymczasem zaniedbania w zakresie inwestycji szkolnych są w tym regionie — tak zresztą jak w całym kraju — bardzo duże. W latach 1976—82 nie rozpoczęto wielu planowanych budów. Na papierze pozostały plany budowy szkół w nowych osiedlach mie-

szkańczych w Białej Podlaskiej i Międzyrzeczu oraz przedszkoli w Białej, Terespolu i Wisznicach. Systematycznie przy tym — i to w sposób drastyczny — malały nakłady finansowe na inwestycje. Wystarczy wspomnieć, że jeśli w 1977 roku wynosiły one 66,2 mln, to w 1980 roku — 13,1 mln złotych. Równocześnie w latach 1977—81 nie wykorzystano 67,4 mln złotych. I tak tworzyło się błędne koło.

W rezultacie w latach 1976—80 baza oświatowa w województwie wzbogaciła się tylko o jedną nową szkołę podstawową w Parczewie. Ponadto rozbudowano szkoły w Czemiernikach i Kąkolewnicy oraz — ale to już w czynnie społecznym — dwa licea ogólnokształcące w Białej Podlaskiej. W ostatnich zaś dwóch latach uzyskano — dzięki modernizacji i remontom — dodatkowe pomieszczenia na uruchomienie czterech przedszkoli w stolicy województwa oraz jednego w Dębowej Kłodzie. A ponad-

to oddano do użytku dwa pawilony szkoły podstawowej w Białej Podlaskiej, przedszkola w Radzynie oraz w Holeszowie (to ostatnie ze środków PGR). W ubiegłym roku — dzięki zaangażowaniu dyrekcji i młodzieży, która sposobem gospodarczym zbudowała nowy obiekt szkolny i warsztatowy — poprawiły się warunki pracy Zespołu Szkół Zawodowych w Łosicach.

I to już w zasadzie wszystko. W tej sytuacji zrozumiały niepokój budzi niemal symboliczna kwota 100 mln złotych na tegoroczne inwestycje. Dawali wyraz temu niepokojowi radni w czasie sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, na której analizowano sprawy oświaty i wychowania w latach 1983—85. Nie pierwsza to zresztą w Białej Podlaskiej sesja WRN poświęcona temu tematowi. Sprawy oświaty rozpatrywano dwukrotnie w 1976 i w 1978 r., a ponadto na jednym z plenarnych posiedzeń KW PZPR. Nie zaowocowało to jednak — przynajmniej w dziedzinie inwestycji oświatowych — widocznymi rezultatami. Owszem, w województwie robi się niemało w czynnie społecznym. W tym roku na przykład kontynuuje się dzięki temu kilka budów, m. in. obiekty zbiorczych szkół gminnych w Łomazach i Rokitnie, basen kryty przy Liceum Ogólnokształcącym w Białej Podlaskiej, szkołę podsta-

wową w Misiach, przedszkole w Janowie Podlaskim i — ze środków PGR — przedszkole w Konstantynowie.

To zaangażowanie społeczeństwa budzi najwyższe uznanie; jest ono zwłaszcza teraz — gdy kłesa państwowa tak bardzo chuda — wprost na wagę złota. Trudno jednak w rozwiązywaniu problemów inwestycyjnych liczyć wyłącznie na ofiarność społeczną. Radni, w czasie ostatniej sesji WRN, podjęli uchwałę precyzującą m. in. główne kierunki działania w zakresie popiekania bazy lokalowej szkół i mieszkaniowej nauczycieli na lata 1983—85. Czy mieszkańcy woj. bielskiego mogą liczyć na postęp w tej dziedzinie? Teraz, gdy sprawy priorytetów inwestycyjnych znajdują się w gestii wojewodów — już nie od centrali, ale od miejscowych władz zależać będzie usytuowanie w wojewódzkim pejzażu oświaty i jej potrzeb. Jedno jest pewne; nie da się opędzić nawet najniezbędniejszych potrzeb w zakresie bazy lokalowej oświaty 100 milionami złotych rocznie.

(Opr. D. Ch.)

DZIĘKUJEMY
PANIE
KIEROWCO!

DOM NA KÓŁKACH



Fot. Cz. Górski

O tej uroczystości, jaką zgotowały dzieci Mieczysławowi Skrzypkowi na zakończenie ubiegłego roku szkolnego, mówiono i w Żoliborskim Wydziale Oświaty, i w Szkole Podstawowej nr 106 na Chomiczówce, i nawet na szkolnym przystanku autobusowym. Bo coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy, aby osoba spoza pedagogicznej profesji była tak spontanicznie, zbiorowo przez uczniów fetowana. Dostojnie każde dziecko przyszło z kwiatkiem dla „wujka”...

Czym pan Mieczysław, kierowca szkolnego autobusu na warszawskim Żoliborzu, zasłużył sobie na tę niezwykłą sympatię dzieci i ich rodziców? Jakież to wartości ludzie w ludziach jeszcze cenia, nawet jeżeli ów szacunek objawia się tylko w formie okazjonalnego gestu? Zwłaszcza gdy tymi ludźmi są dzieci, istoty konformizmem jeszcze nie skażone.

Dyrektorka szkoły nr 106, Krystyna Furmanik uważa, że na tle różnych dewaluacji pan Skrzypek rzeczywiście jest swego rodzaju wyjątkiem: — Kiedy przenosiliśmy się z osiedla Brzeziny do nowego budynku na Chomiczówce i trzeba było poświęcić niejedną godzinę poza wszelkimi obowiązkami, pan Mieczysław czasu nie liczył, chociaż jego macierzystym zakładem pracy jest MZK, nie szkoła, a i nieletnich dzieci też już nie ma. On po prostu

nie potrafi odmówić, gdy widzi, że jego udział w czymś jest konieczny. Teraz dowozi dzieci do innych szkół, ale swojej „starej” nie opuszcza w potrzebie, gdy na przykład organizuje się wycieczki itp.

Są to jednak sytuacje wyjątkowe. A na co dzień? Któryś z moich rozmówców powiedział o nim: świetny fachowiec, dodatkowo obdarzony dyspozycjami opiekuńczo-wychowawczymi. Zatem nie jakiś tam dziwak, który nie wie, co ze swoim czasem począć A czy oryginal? Jeśli przyjąć połączenie tych dwu warstw osobowości za coś w naszych warunkach wyjątkowego, to wtedy sumą może być „oryginał”. W każdym razie wyruszyłam „na trasę”, aby się naocznie przekonać. A nuż trafi się wzorzec „na miarę”...

I z tego rekonesansu dowiedziałam się, że opinia świetnego fachowca na drobne rozmieniona oznacza, iż w ciągu 28-letniej służby za kierownicą autobusu (z dziećmi jeździ dopiero 3 lata) pan Mieczysław nie miał jeszcze wypadku, że o wóz dba jak o własny i do tego stara się przyzwyczajać małych pasażerów, że sam dokładnie sprawdza każdego dnia, czy aby coś nie szawankuje, „bo, widzi pani, na trasie wszystko musi grać, żeby nie było niespodzianek, które nierzadko ze zwykłego niedopatrzenia się biorą”. I jest to dla niego oczywiste, że tak trzeba, bo gdyby było i-

naczej... No właśnie, to pan Skrzypek ze swoją prostołinią uczciwością zawodową nie widziałby dla siebie miejsca ani w szkolnym, ani w innym autobusie.

Wymieniając teraz oszczędne uwagi o życiu i pracy, życzliwie się uśmiecha, a ja mam chyba głupią minę, właśnie z powodu wcześniej zadawanych pytań, które w czymś, w odczuciu mojego bohatera — całkiem normalnym szukały nadzwyczajności. I jestem wściekła na siebie i ten siąpiący deszczem dzień, że tak łatwo człowiek ulega stereotypom.

Nie tak dawno przecież ukazywały się w prasie podziękowania za normalną obsługę klienta w sklepie czy przy biurowym okienku. Na podstawie indywidualnej autopsji trudno orzec, czy problem zniknął z życia i zaczynamy pelzać ku normalności, czy tylko nieco przybladła maniera wydziewiania. W każdym razie osobiście nie uważam wcale, aby powszechnie zwykował rzetelny stosunek do pracy, aby była ona powszechnie stosowanym kryterium oceny człowieka. Toteż ze zwykłych już słów chciałabym ułożyć skromną wiązanekę dla tych wartości, które pielęgnuje żoliborski kierowca i — wychowawca.

Bo właśnie dla dzieci pan Skrzypek jest kimś rodzinnie bliskim, co w kategoriach przyczyn rozważając, określili znający się na rzeczy nauczyciele jako zespół dyspo-

zyjni opiekuńczo-wychowawczych. No bo jak inaczej określić ów dar natury, gdy bez przygotowania pedagogicznego, za to z dobrym życiowym, człowiek wie, co, kiedy i jak powiedzieć lub inaczej zareagować, żeby było z korzyścią dla malców. I nie są to umizgi na tani aplauz obliczone, lecz mądry, odpowiedzialny stosunek do powierzonych jego pieczy dzieci. Wprawdzie obowiązki wymieniają zapewnienie bezpieczeństwa jazdy, ale...

Były wypadki, że wychowawcy klasowi nie orientowali się w różnych zawiłościach życia uczniów, gdyż w budujących się osiedlach mieszkańcy jeszcze nie tworzą zintegrowanych społeczności i sytuacja szkolna jest dosyć płynna. A jednak pan Mieczysław znał dziesiątki szczegółów, wiedział, dlaczego Wojtek czy Marysia opuścili zajęcia lub zjawili się w autobusie zaniedbani. Wścibstwo w cudze życie? Daj Boże takie wścibstwo każdemu, kto ma kontakt z dzieckiem, aby nie spoglądał na nie jak na zawadzący na drodze kamień.

— Nierzadko korzystaliśmy z jego mądrych rad i informacji, gdy na przykład zaszła jakaś nagła zmiana w zachowaniu któregoś z dowożonych dzieci — mówi dyr. K. Furmanik. — Zdarzało się nieraz, że woził dzieciaka w autobusie i dwie godziny — uzupełnia jej koleżanka — gdy się okazało, że jakieś nieprzewidziane okoliczności zatrzymały rodziców dłużej w pracy. Niech już lepiej siedzi w autobusie pod moim okiem niżby miał się gdzieś po osiedlu bez opieki pałętać i jakąś krzywdę sobie zrobić — usprawiedliwiał tę swoją „miękkosć serca”.

Rodzice mają stuprocentowe zaufanie do opieki i mądrych wskazówek życiowych pana Mieczysława. Są chłopcy, którzy i dwie godziny wcześniej zjawiają się w autobusie. Wolą tu przebywać niż sami w domu, zawsze coś pomogą lub zwyczajnie z zaciekawieniem patrzą, jak wprawnym ruchom kierownicy posłusznie podporządkowuje się cały wehikuł. — Chłopców takie zajęcia, niezajęcia ogromnie interesuje — wyraźnie ożywia się pan Mieczysław, gdy bezpośrednio nie o nim samym, lecz o dzieciach, ich reakcjach, zachowaniu zaczynamy rozmawiać. — Niech pani popatrzy, jak wylepili kabinę kolorowymi obrazkami. Już nie ma gdzie przyklejać. Każde chciałoby tu coś swojego mieć, tak jakby to był ich dom na kółkach.

A ja już na własny użytek, żeby nie wyglądało na mizdrzenie się — bo mój rozmówca jest tak naturalnie, onieśmielająco bezpretensjonalny — uzupełniam w myślach; to przecież o czymś świadczy, że może im się wydawać...

Toteż na brak szczerzych dowodów sympatii pan Skrzypek nie narzeka. — To przychodzi samo. — Samo? Zatem eureka! — No, są dwa drobne warunki: rzetelna praca i życzliwość dla małych pasażerów. Oni jedni potrafią szczerze uszanować człowieka, ich jeszcze nic nie zmanierowało. Między innymi dlatego chciałbym już do emerytury jeździć ze szkolnymi —owiada.

★

Już sporo słów przelało się na papier o moralno-ideowym odradzaniu, oczywiście na razie w formie życzeniowej. Czy zaprezentowany najautentyczniejszy przykład pozwala bez egzaltacji (anno domini 1983) wnieść okrzyk: „odkryłam”. Czy nieco dłuższy: „chronimy ludzkie zabytki klasy zerowej!”, abyśmy zupełnie nie zapomnieli, co to znaczy być traktowanym jak człowiek? A może znajdują się naśladowcy? Pan Skrzypek wcale nie uważa, że pozyskanie niekonwencjonalnego szacunku jest sztuką tylko dla wybrańców. To tylko kwestia sprzyjającego klimatu.

ZENOBIA MILLER

KTO NAM POMOŻE?

Nawiązując do zamieszczonego w 11 numerze „Głosu” artykułu „Kto nam pomoże zbudować Dom Seniora?”, chciałbym zwrócić uwagę na kilka jeszcze spraw. Pisałem już o tym, że inicjatorzy budowy domu liczą na poparcie i pomoc ze strony resortów: oświaty i zdrowia oraz prezydenta Warszawy, pod patronatem którego ma być realizowana ta inwestycja. Liczymy również na pomoc organizacji społecznych. Wznosząc dom seniora chcemy zapewnić weteranom godne warunki życia. Uważamy, że będzie to jednocześnie piękny sposób uczczenia tych wszystkich naszych koleżanek i kolegów, którzy walczyli z okupantem o wyzwolenie kraju i o zachowanie jego dóbr kulturowych. Z myślą o tym zamierzamy winurować we frontonie budynku tablicę pamiątkową ku czci poległych nauczycieli. W ten sposób zamierzamy — w 80 rocznicę istnienia Związku Nauczycielstwa Polskiego — upamiętnić historyczne wydarzenia sprzed 40 laty.

A co proponujemy przyszłym mieszkańcom domu. Weteranom pracy oświatowo-wychowawczej z tutejszego okręgu szkolnego? W zamian za zdanie swych dotychczasowych mieszkań seniorzy będą mieli zapewniony stały pobyt pod wspólnym da-

chem, gdzie będą czuć się swojsko i bezpiecznie.

Aby warunki te były spełnione, w domu musi być umiejętnie zorganizowane życie seniorów, trzeba także odpowiednio urządzić mieszkania i wyposażić pomieszczenia wspólnie użytkowane. Specyficzny wystrój wnętrz M-1 i M-2 ma zapewniać niezbędne minimum intymności życia osób samotnych i rodzin dwuosobowych, a wystrój pomieszczeń gospodarczych, zdrowotnych i rekreacyjnych — integrację mieszkańców i wytworzenie więzi koleżeńskich. Wyłania się zatem potrzeba szczegółowszego przeanalizowania warunków rekrutacji kandydatów; rozlokowania seniorów; działalności organizacyjnej.

REKRUTACJA

Kandydaci do wspólnego zamieszkania w domu seniora będą przyjmowani przez społeczną komisję kwalifikacyjną z udziałem: lekarza i psychologa oraz przedstawicieli organizacji związkowej, administracji szkolnej, kierownictwa domu i innych. Zadaniem komisji będzie ocena stanu zdrowia i stopnia sprawności psycho-somatycznej. Zakwalifikowani kandydaci zostaną przyjęci do domu i rozlokowani na poszczególnych kondygnacjach budynku. Osobom samotnym przypadną M-1 usytuowane we frontowej części budynku z widokiem na ulicę, a dla rodzin dwuosobowych — M-2 usytuowane w obu

skrzydłach z widokiem na dziedziniec wewnętrzny domu.

STREFY ZAMIESZKIWANIA

Komisyjna ocena zdrowia i sprawności seniorów będzie podstawą do właściwego rozlokowania ich na poszczególnych kondygnacjach, stanowiących tzw. strefy zamieszkiwania.

Strefa I — na kondygnacji VII—VI—V — będzie zamieszkiwana przez seniorów najbardziej sprawnych, zdolnych do samodzielności życia i działania.

Strefa II — na kondygnacji IV i III — będzie zamieszkiwana przez seniorów z ograniczoną sprawnością, lecz nie wymagających stałej opieki pielęgniarzkiej, zdolnych — przy pomocy osób drugich — do samoobsługi i uczestnictwa w życiu zbiorowym.

Strefa III — na kondygnacji II i I — będzie przeznaczona dla seniorów chorych i niepełnosprawnych, wymagających regularnej opieki pielęgniarzkiej i doraźnej opieki lekarskiej oraz pełnej obsługi gospodarczo-administracyjnej.

W przypadkach losowych seniorzy, poruszający się na wózku inwalidzkim, ulokowani w odpowiednio większych mieszkaniach — na parterze z wygodnym podjazdem — otrzymają mieszkania specjalnie wyposażone pod względem technicznym i higieniczno-sanitarnym.

Wyposażenie mieszkań w poszczególnych strefach będzie nieco zróżnicowane i tak np.: w strefie I — będzie wanna do kąpieli w pozycji leżącej (140×70cm); w strefie II — wanna do kąpieli w pozycji siedzącej (100×70); a w strefie III — brodzik z ru-

chomą ławeczką do kąpieli w pozycji stojącej lub siedzącej.

SAMORZĄD MIESZKAŃCÓW

Funkcje samorządowo-organizacyjne będzie mogła spełniać bądź rada seniorów, wybierana przez mieszkańców, bądź też normalne ognisko związkowe emerytów i rencistów domu seniora ZNP. Rola samorządu — w tym konkretnym przypadku — nie może ograniczać się wyłącznie do reprezentowania interesów mieszkańców wobec kierownictwa czy administracji domu, ale ma polegać przede wszystkim na organizowaniu życia społeczno-kulturalnego i rozrywkowego oraz pomocy koleżeńskiej według zasady: młodszy pomaga starszemu, a silniejszy — słabszemu.

★

Te wstępne ustalenia Komitetu Budowy Domu Seniora chcemy poddać pod dyskusję na najbliższej naradzie przedstawicieli ognisk emerytów i rencistów z udziałem przedstawicieli zainteresowanych władz, która odbędzie się 8 kwietnia br. o godz. 11.00 w gmachu ZNP przy ul. Spasowskiego 6/8. Zadaniem narady będzie rozpatrzenie: aktualnej sytuacji organizacyjno-prawnej; zamknięcie listy kandydatów; sposobu gromadzenia środków pieniężnych; projektu statutu komitetu; wystąpienia delegacji do prezydenta Warszawy, związków ZNP, sejmowej Komisji Oświaty i Wychowania. Serdecznie zapraszamy na to spotkanie wszystkich zainteresowanych przedstawicieli ognisk emerytów i rencistów.

WALENTY DOBROWOLSKI

UCZNIOWSKA SAMORZĄDNOŚĆ

W Zespole Szkół Zawodowych Ministerstwa Górnictwa i Energetyki w Wałbrzychu samorząd szkolny reaktywowano w czerwcu 1982 r. Oczywiście zanim do tego doszło, odbyło się szereg burzliwych spotkań, zebrań, posiedzeń. W efekcie wyłonione zostały grupy przedstawicielskie, takie jak: grupa do współpracy z radą pedagogiczną i zespołem wychowawczym oraz grupa do współpracy z komitetem rodzicielskim. W ramach samorządu utworzony został „Klub Turystów” uczestniczący w ciekawie zorganizowanych rajdach (ściśle i aktywna współpraca z PTTK i LOK). Dynamicznie działająca sekcja imprez sportowych „zagospodarowała” wolne soboty ciekawymi turniejami i zajęciami rekreacyjno-sportowymi. Problemy samorządności młodzieży w naszej szkole są często przedmiotem rozważań rady pedagogicznej.

Harcerstwo u nas w szkole nie wymagało reaktywowania. Wprawdzie organizację opuściło kilku uczniów, jednak większość pozostała. Nasi harcerze nawiązali kontakty z młodzieżą żeńską pobliskiego Liceum Medycznego i utworzyli drużynę mieszaną. Aktualnie przy naszym zespole szkół działają dwie drużyny, a kilkunastu harcerzy należy do drużyn środowiskowych, korzystających z naszej oryginalnie urządzonej i wyposażonej barćówki. Sześciu harcerzy prowadzi drużynę harcerską w szkołach podstawowych na terenie miasta. Cześć harcerzy jest członkami drużyny Wałbrzyskiej Chorągwi ZHP. Ponadto prowadzimy drużyny w pobliskich miejscowościach (Boguszków-Gorce i Jedlina Zdrój).

Nasze drużyny m. in. uczestniczyły w uroczystej inauguracji Roku Harcerskiego w Szczawnie Zdroju, pełniły warty honorowe przy Pomniku Zwycięstwa w Rocznicę Września 1939 r. Do dziś wspominały rajd „Azymut 82”, w którym nasi zdobyli I miejsce i wspaniały puchar.

Trochę inaczej wyglądały początki organizacji ZSMP. Można powiedzieć, że autentyczna działalność tej organizacji datuje się od początku obecnego roku szkolnego. Osiągnięcia jednakże są konkretne i wymierne. Plan pracy szkolnego koła ZSMP zatwierdzono w październiku 1982 r., tworząc jednocześnie sekcje: naukową, kulturalną, turystyczną i sportową.

Członkowie mają już za sobą szereg udanych akcji i przedsięwzięć, m. in.: zorganizowano konkurs o ziemi wałbrzyskiej cieszący się dużą popularnością z uwagi na atrakcyjny sposób organizacji i prowadzenia. Przeprowadzono również zbiórki książek i upominków dla wychowanków Państwowego Domu Dziecka i uroczyste przekazano. Dwóch członków ZSMP zakwalifikowało się do eliminacji okręgowych Olimpiady o Polsce i Świecie Współczesnym, dwóch innych reprezentować będzie naszą szkołę w finale wojewódzkim olimpiady pod hasłem „ZSRR — ojczyzna naszych przyjaciół”. Odbyło się również przyrzeczenie antyalkoholowe.

Z inicjatywy aktywistów szkolnego koła ZSMP, powstaje w naszej szkole Młodzieżowy PRON. W najbliższym czasie czterech członków naszego ZSMP weźmie udział w zjeździe delegatów Młodzieżowych PRON w szkołach (jest to ich propozycja i inicjatywa po zebraniu Zarządu Miejskiego PRON w Wałbrzychu, w którym uczestniczyli).

Podaliśmy tylko niektóre przykłady działalności ideowo-wychowawczej w naszej szkole, będącej wynikiem dyskusji na temat: co jeszcze zrobić, a nie — czy może coś zrobić. Nasza młodzież stwierdziła bowiem, że dyskusji było, jak dotąd, wystarczająco wiele — teraz należałoby zabrać się do pracy.

Na zakończenie chciałbym dodać, że organizacjami opiekują się z ramienia rady pedagogicznej doświadczeni nauczyciele, a uczniowie ich pomoc bardzo sobie cenią.

TADEUSZ SITEK
Wałbrzych



Fot. B. Marciniak

AŻ WIERZYĆ SIĘ NIE CHCE

DWOREK

Nie ukrywam, że przed laty trochę sceptycznie odnosiłem się do konserwatorskich zamierzeń dyrektora i uczniów Zespołu Szkół Rolniczych w Grabonogu k. Gostynia, w woj. leszczyńskim. Zmieniłem zdanie, kiedy pokazano mi wyremontowany społeczny sumptem budynek gospodarczy z pierwszej połowy XIX w., tzw. lamusa, a w nim sprawnie działający klub młodzieżowy. Mimo to wciąż nie w pełni wierzyłem w realność następnego przedsięwzięcia — remont zdewastowanego dworku z XVIII wieku. Przecież to przekraczało możliwości i umiejętności tej młodzieży!

A jednak... Wielkim kluczem dyrektor Stanisław Sroka otwiera drzwi i wchodzimy do wyremontowanego już dworku. Stajemy oniemiały!

— Wiem, że pan i inni nie wierzyli — mówi dyrektor. — Ja, tak. Miałem sprawdzonych przy lamusie rzemieślników wiejskich, a przede wszystkim młodzież. Może po cichu mówili, że ich do tej pracy popędzam, ale wieczorami, organizując zajęcia w klubie młodzieżowym „Lamus”, widzieli konkretne efekty podobnego działania swoich poprzedników. Równolegle z tymi pracami konserwatorsko-remontowymi prowadziliśmy działalność zbieracką, związaną z ratowaniem przedmiotów kultury materialnej.

Sięgam do zapisu na taśmie magnetofonowej z 1980 roku. Uczniowie mówili wówczas:

„Zbieramy wszelkiego rodzaju starocie świadczące o kulturze naszej ziemi biskupiańskiej... Jeździmy po wsiach, organizujemy wycieczki krajoznawcze i wyprawy rowerowe połączone ze zbieractwem. Wypracowaliśmy sobie metodę i nie do każdego domu wchodzimy. Omijamy murowane wille, bo tam, jak się niejednokrotnie przekonałem, starocie już dawno spalono w piecach centralnego ogrzewania. Zachodzimy do starych drewnianych chat, a miejscem naszych poszukiwań są strychy i komory. A potem prosimy o pokazanie starych szaf i skrzyń wiannyh”.

„Coraz częściej spotykamy się z żądaniem zapłaty. Natomiast ludzie starsi, nawet ci najbardziej przywiązani do swoich staroci, które często stanowią domowe skarby i pamiątki rodzinne, długo nas wypytują: a po co wam to, na co? Ale kiedy opowiemy im o naszej izbie regionalnej, o wyremontowanym lamusie i dworku, dają chętnie”.

„W efekcie nasze rowery w drodze powrotnej przypominają często raczej juczne wielbłądy. A czasami i samochód naszego opiekuna też wypełniony jest skarbami”.

Dyrektor Stanisław Sikora jest trochę zdziwiony, że mimo upływu lat mam jeszcze tę taśmę z wypowiedziami młodzieży. Przydała się.

Wróćmy jednak do dworku i jego historii. Wybudowany został w 1749 roku w stylu klasycystycznym, z gliny, w konstrukcji drewnianej. A więc zabytek, a że poprzedni użytkownicy nie dbali o jego konserwację, a i czas zrobił swoje, trzeba było wziąć się do remontu kapitalnego.

— Tych dwórków, z tzw. pruskiego muru, z reguły się nie remontuje, nawet w Wielkopolsce. A jeżeli już się je ratuje, to olbrzymim nakładem środków, zlecając Przedsiębiorstwu „Pracownie Konserwacji Zabytków” za grube miliony. W naszym

przypadku nakłady były stosunkowo niewielkie. Konserwator zabytków w Lesznie dał pół miliona. Wydział Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego — 300 tys., resztę dołożyliśmy ze środków rady młodzieżowej, zebranych w trakcie praktyk i prac polowych uczniów. W sumie, jak na dzisiejsze czasy, są to nakłady śmiesznie małe — milion złotych. Największy wkład, czego nie przeliczaliśmy na złotówki, dała młodzież — swoją pracą. A szacowano ten remont na 6—7 milionów złotych! Prace wykonane zostały dokładnie. O rozmiarze naszej dokładności niech świadczy przykład gwoździ używanych do mocowania płaskich kolumn zewnętrznych, zdobiących główne wejście do dworku. Wszystkie wykute zostały przez kowala, zgodnie z dawną technologią.

Inne cenne efekty to rozbudzone zainteresowania młodzieży kulturą ludową, także opanowanie pewnych umiejętności murarsko-ciesielskich, które w przyszłości przydadzą się w życiu i pracy rolnika.

Zwraca uwagę zachowanie młodzieży, szanowanie przez nią starych przedmiotów będących wyposażeniem klubu młodzieżowego. W czasie zwiedzania muzeum w Kielcach pracownicy zaskoczeni byli kulturą bycia naszych uczniów, ich wiedzą. Nie wierzyli, że to młodzież ze szkoły rolniczej i to z niewielkiej wioski...

Dworek utrzymany jest w tzw. stylu polskim. Podłoga stanowi zwierciadlane odbicie sufitu. Okna polskie, trójdzielne, skrzyniowe. Z pięknej sieni wchodzimy do sal. W pierwszej — wykopaliska archeologiczne. Jest ich sporo, z dawnych i współcześnie prowadzonych prac, w których czynnie uczestniczą uczniowie. W jednym z pomieszczeń prawdziwe bogactwo dawnych strojów. Skąd ten wspaniały zbiór?

Mówi dyrektor Sroka: — Wiele przedmiotów przyniosła młodzież z własnych domów, inne zdobyła w czasie wypraw. Jesienią jeszcze jeździliśmy. Ale dziś już trudno się zbiera. Złą robotę robi „szarańcza” z miasta, jak my nazywamy różnego rodzaju pseudo-kolekcjonerów staroci. Skupują, co się da i w ich szafach ginie wiele ciekawych zabytków, bez jakiegokolwiek informacji etnograficznej. Płacą każde pieniądze, zwłaszcza za stroje ludowe, sprzedawane potem polonumom z dużym zyskiem.

Zbiera nie tylko młodzież, także rodzice. Oni też pomagali przy remociu najpierw lamusa, a ostatnio dworku... Oglądam przepiękną kolekcję czepków, krosno, kołwrotki i wiele innych przedmiotów składających się na strój ludowy i jego wykonanie. W pewnej chwili uwagę moją przykuwają dwie, bardzo zniszczone rzeźby.

— To jest święta Rozalia, rzeźba Walentego z Grabonoga. Jest własnością Muzeum Etnograficznego w Poznaniu, jedna z najpiękniejszych kapliczek polskich, w katalogach etnograficznych pozycja nr 1. Druga rzeźba to święty Benon. To moje odkrycie. Znalazłem ją na strychu w jednym z domów w Krajewicach. Też autentyczna rzeźba Walentego z Grabonoga. Uważana była za zaginioną. Niestety, prof. Błaszczyk uznał, że nie nadaje się do konserwacji. Faktycznie niewiele w niej widać szczegółów, ale dla mnie jest swego rodzaju relikwią...

Pytam dyrektora Srokę, co o tym kulturowym bogactwie mówią etnografowie?

— Odwiedził nas etnograf z muzeum w Lesznie. Był zaskoczony, że tak bogate zbiory są w posiadaniu niewielkiej szkoły i to o profilu rolniczym. Niestety, na tym zaskoczeniu i uznaniu się skończyło.

— A czy te zbiory mają wartość naukową?

— Jest ewidencja i dane. Trzeba zatrudnić kogoś, kto wykona dokładniejszą dokumentację muzealną, fotografie i kartotekę zabytków. To już przekracza nasze możliwości fachowe i czasowe.

Po zwiedzeniu kuchni z bogatą kolekcją naczyń i narzędzi służących do pieczenia chleba, wyrobu masła i sera, także komory z urządzeniami do prania i prasowania z XIX w. oraz biblioteki na pięterku — siadamy w dawnym gabinecie Edmunda Bojanowskiego.

Na ścianie biblioteki rysunek pierwszej w świecie ochronki dla sierot wiejskich zorganizowanej właśnie przez Edmunda Bojanowskiego. Od niego uczyli się pedagogowie i społecznicy z innych krajów, nie tylko Europy. Na co dzień Edmund Bojanowski pracował w dziale literackim Kasy Gostyńskiego, publikował w leszczyńskim „Przyjacielu Ludu” i innych. Redagował „Pokłosie”, przetłumaczył „Manfreda”, pisał wiersze, zbierał pieśni ludowe, a także układał piosenki, wiersze i powiastki, wykorzystując je w ochronkach w pracy wychowawczej z dziećmi. W opowieściach i bajkach przekazywał polskie akcenty patriotyczne. Niemcy nazywali go nawet „niemcożercą”. Interesował się dziełami żołniami. To prawdopodobnie on „odkrył” Leona Czaplickiego, późniejszego nauczyciela Jana Kasprzowicza. Bojanowski był również założycielem „Konwiktów Krajewickiego” — placówki, w której mieszkali i kształcili się zdolne, a biedne dzieci. Na ich utrzymanie i edukację składało się okoliczne ziemiaństwo i mieszczaństwo.

Dyrektor jest znawcą historii tej ziemi, etnografem z powołania. Z zawodu — zootechnikiem; interesuje się historią i kulturą ludową. Mówi o sobie:

— Przed laty, kiedy byłem wychowawcą klasy, jedna z matek przyjechała na wywiadówkę w przepięknym stroju biskupiańskim. To mnie zafascynowało. Zaczęłem szperać w książkach, wędrować po wsiach, grzebać na strychach i podwórkach, a z czasem w tych wędrowkach zaczęli towarzyszyć mi moi uczniowie, z którymi założyliśmy koło PTTK. Przekonałem się, że młodzież mimo iż sama pochodzi ze wsi, odkrywa tę wieś na nowo. A jeśli chodzi o matkę z wywiadówki, to właśnie jej strój zapoczątkował naszą kolekcję strojów biskupiańskich.

O konserwatorsko-zbierackich pasjach dyrektora Sroki i jego młodzieży wydał swą opinię Wawrzyniec Kopczyński, wojewódzki konserwator zabytków w Lesznie:

— Jestem przekonany, że żaden z absolwentów tego technikum i zasadniczej szkoły rolniczej, jeśli gdziekolwiek znajdzie się w przyszłości, nie przejdzie obojętnie wobec walącego się obiektu zabytkowego. Na pewno potrafi docenić jego wartość kulturową.

Dyrektor Sroka jest dziś opiekunem, kustoszem i woźnym tego muzeum, przewodnikiem licznych wycieczek, nie tylko z terenu woj. leszczyńskiego. Dworek nie ma statutu, a przydałby się, żeby było to faktyczne muzeum Zbiorów może pozazdrościć szkole niejedna placówka muzealna: to, co eksponuje się w dworku, to mały procent całości zbiorów. No i wartość zabytkowa samego dworku! Tu już powinien pracować fachowiec.

Niespokojne duchy z Grabonoga mają już następnego obiekt do remontu, ale o tym innym razem.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

PROBLEM ZOSTAŁ ROZWIĄZANY!

ŚMIAŁA DECYZJA

Jak nas poinformował Departament Kadr i Spraw Socjalnych resortu oświaty i wychowania (wiadomość z ostatniej chwili), problem mieszkań dla nauczycieli został definitywnie rozwiązany.

Po prostu, kierownictwo resortu oświaty i wychowania — na wniosek wyżej wspomnianego departamentu — postanowiło zakupić w Finlandii 120 tysięcy domków jednorodzinnych dla pedagogów. (Przy okazji wyjaśniamy, że tyle właśnie mieszkań dla nauczycieli potrzebował resort oświaty i wychowania).

Odpowiedni kontrakt został zawarty 1 kwietnia br. w Helsinkach.

Pierwsza partia tych domków (30 tysięcy) zostanie sprowadzona jeszcze w tym roku. Modele domków przedstawiamy na naszych rysunkach. Oczywiście, większe domki (około 150 m² — oznaczone symbolami A, B, C, D) będą przeznaczone dla nauczycielskich rodzin wielodzietnych.

Bliższych informacji w powyższej sprawie udziela zainteresowanym dyrektor Departamentu Kadr i Spraw Socjalnych.

Koszt jednego domku kształtuje się w granicach 500—700 tys. złotych. Biorąc pod uwagę zwykłe cen, można powiedzieć, iż domki będą przekazywane pedagogom wręcz za darmo, tym bardziej że spłatę rozłożono na 20 lat.

Redakcja nasza oświadcza, iż zdecydowanie i jednomyślnie popiera tę śmiałą decyzję kierownictwa. Nareszcie jeden problem nauczycielski będziemy mieć rozwiązany do końca. (Z)



CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

15 KILOGRAMÓW W TORNISTRZE

Czy dzieci nasze koniecznie muszą dzwigać do szkoły podręczniki? Wcale nie muszą. Na przykład w Zbiorczej Szkole Gminnej w Tarnowie Podgórnym k. Poznania nie noszą ich już od siedmiu lat.

Jak do tego doszło? We wrześniu 1976 r. przez 3 dni z rzędu, kiedy uczniowie przekraczali progi szkoły, czekały na nich u wejścia wagi (15 stanowisk), na które należało włożyć tornister z przyborami. I cóż się okazało? Oto przeciętna waga tornistra wynosiła 7,8 kg. Swoisty rekord w tej dzie-

zinie pobił uczeń k. VI. Jego teczka ważyła — bagatela — 15,8 kg.

To nam dało do myślenia. Zastanawialiśmy się, jak rozwiązać tę sprawę. Pierwsza dała odpowiedź kol. Aleksandra Chojnacka, wychowawczyni kl. Ia. Wdrażała ona dzieci od pierwszego dnia ich pobytu w szkole do poszanowania dla podręczników, zeszytów i przyborów szkolnych. W jej klasie większość książek pod koniec roku wyglądała „jak nowe”.

W ciągu dwóch tygodni pobierano je od dzieci i w połowie października, uczniowie klas pierwszych (było ich trzy) mieli podwójne komplety książek. Nowe wydano dzieciom do domu — używane zatrzymane w szkole. Od tej pory dzieci przynosiły do szkoły tylko drugie śniadanie i pantofle do gimnastyki. I tak się zaczęło.

Znacznie wcześniej, bo o dwa lata, nim Ministerstwo Oświaty i Wychowania wprowadziło nowy system zaopatrywania młodzieży w podręczniki szkolne, ja z pomocą rady pedagogicznej i rodziców wypracowałem „swój”. Zdaje on doskonale egzamin i jest, śmiem tak na podstawie doświadczenia twierdzić, lepszy od ministerialnego.

Najpierw przeprowadziłem w tej sprawie zebranie rad pedagogicznych we wszystkich szkołach. Następnie ogólne zebranie z rodzicami. Apelowaliśmy do rodziców o dwie rzeczy: przekazanie nieodpłatnie szkołom wszelkich podręczników szkolnych, które są u nich w domach — szczególnie chodziło tu o klasę VII oraz o maksymalne oszczędzanie podręczników.

Wprowadziłem surowy reżim oszczędzania, ustalając, że: podręczniki do języka polskiego i matematyki muszą służyć przez 4—5 lat, do języka rosyjskiego, fizyki, historii i geografii 5—7 lat, a do wf, wychowania muzycznego i techniki od 7—10 lat. W zamian obiecałem rodzicom i nauczycielom oraz młodzieży, że w ciągu 2—3 lat uczniowie będą mieli podwójne komplety podręczników i nie będą musieli nosić książek do szkoły.

I rzeczywiście w ciągu 2 lat 60 proc. uczniów miało podwójne komplety, po trzech latach 100 proc. Pragnę zaznaczyć, że uczyliśmy młodzież systemem gabinetowym i w klasach-pracowniach. W każdej takiej klasie w specjalnie wydzielonej szafie stoją komplety podręczników. Każdy komplet jest owinięty w okładkę plastikową innego koloru. Na przykład kl. V — zielony, kl. VI — brązowy, VII — czerwony, VIII — niebieski. Na każdym podręczniku wypisane są nazwiska tych uczniów, którzy z danego podręcznika korzystają i za niego materialnie odpowiadają. Książki są ostemplowane pieczęcią szkoły. W ostatnim tygodniu nauki uczniowie przynoszą z domu podręczniki, które są oceniane. Jeżeli zniszczenie wynosi więcej niż 15—20 proc. wartości książki lub podręcznik zaginął — uczeń płaci za niego pełną wartość, tak jak za nowy.

Trochę zamieszania wprowadziły dość częste w ostatnich latach zmiany podręczników. Wycofane przekazujemy na makulaturę. Z nowych uzupełniamy podwójne komplety w ciągu 2—3 lat.

Z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że nie otrzymujemy większych przydziałów podręczników niż inne szkoły. Przeciwnie młodzież nasza tylko jeden raz, gdy wyszło zarządzenie MOiW wpłaciła należność w wysokości 70 proc. wartości książek, zgodnie z przepisami. Normalnie płaci 50, 40 proc. wartości książek.

Co więcej doszliśmy do tego, że już od dwóch lat nie wykupujemy przyznanych nam limitów. Sami nauczyciele mówią: „Pan-e dyrektorze — w tym roku nie kupimy przyznanych nam 50 egzemplarzy, tylko 6 lub wcale. Starych mamy jeszcze dosyć, wystarczy nam”. I starczy, nawet na wypożyczenie do sąsiednich gmin i szkół. Uważam to za osiągnięcie.

Kilkakrotnie mówiłem o tym na naradach szczebla wojewódzkiego w Poznaniu. Niestety, bez większego odzewu. Uważam, że dzisiaj, gdy tak nam ciężko, kiedy już znaczną część podręczników uczniowie otrzymują na zasadzie dzierżawy, wypożyczenia — należy tym bardziej wpajać młodzieży nawyk oszczędzania podręczników, zeszytów (były talony) i innych przyborów szkolnych. Jest to nasz obywatelski obowiązek. Ile w ciągu tylko jednego roku można przez to oszczędzić hektarów lasów. Ile milionów drzew?

Moim zdaniem, warto o tym pomyśleć już teraz, gdy zamawiamy podręczniki na nowy rok szkolny i przed zakończeniem kolejnego roku szkolnego. Gra warta świeczki...

TADEUSZ SIKORSKI
zastępca gminnego dyrektora szkół
w Tarnowie Podgórnym

CZY MOŻESZ BYĆ SZEFEEM?

Chcesz się sprawdzić? Chcesz wiedzieć, jaki jesteś i na ile Cię stać? Uważasz, że jesteś lepszy niż Twój szef, którego z powodzeniem mógłbyś zastąpić? Poszukaj odpowiedzi w naszej psychozabawie. Możesz ją traktować poważnie albo lekko, ale nie jako ostateczną wyrocznię. Być może dzięki niej dowiesz się czegoś więcej o sobie. O swoich szansach na awans. Spróbuj, masz okazję.

Przeczytaj przedstawione 22 stwierdzenia, wybierając odpowiedź w czterostopniowej skali — od 5 do 2. Każda z czterech ocen wskazuje na stopień występowania danej cechy — od bardzo wyrobionej (5) do jej pełnego braku (2). Następnie podlicz punkty uzyskane z 22 stwierdzeń oraz oddzielnie w każdej z trzech skal (I, II, III).

I

1) Gdziekolwiek się znajdujesz, interesujesz się ludźmi (z otoczenia), ich sprawami. 5, 4, 3, 2

2) Od dawna interesujesz się różnymi zagadnieniami humanistycznymi (np. socjologią, kulturologią, historią, psychologią, polityką itp.). 5, 4, 3, 2

3) Od wczesnej młodości działałeś w wielu organizacjach sprawując przeważnie funkcje kierownicze. 5, 4, 3, 2

4) W jakimkolwiek znajdziesz się środowisku, łatwo nawiązujesz kontakty z ludźmi. 5, 4, 3, 2

5) Niezmiennie cieszysz się sympatią wielu osób z różnych kręgów (jesteś popularny). 5, 4, 3, 2

6) W prawie każdej sytuacji życiowej jesteś aktywny i przejawiasz inicjatywę. 5, 4, 3, 2

7) Jesteś całkowicie samodzielny. 5, 4, 3, 2

8) Potrafisz w dowolnym momencie dokonać wnikliwej samoanalizy własnego postępowania i wyciągnąć samokrytyczne wnioski. 5, 4, 3, 2

9) Konsekwentnie realizujesz postawione sobie zadania i cele. 5, 4, 3, 2

10) Jesteś ambitny i żądasz sukcesów materialnych oraz przewyższenia innych. 5, 4, 3, 2

11) Jesteś spostrzegawczy. 5, 4, 3, 2

12) Mówią o Tobie, że potrafisz stawiać wymagania i egzekwować je. 5, 4, 3, 2

II

13) Gruntownie przestudiowałeś dzieło z zakresu prakseologii, nauki o organizacji pracy, psychologii lub socjologii pracy: więcej niż (lub mniej). 5, 4, 3, 2

14) Znasz teoretyczne i metodyczne podstawy dziedzin wiedzy, specyficzne dla Twojej placówki. 5, 4, 3, 2

15) Bezbłędnie znasz przepisy prawne i administracyjne regulujące funkcjonowanie Twojej instytucji. 5, 4, 3, 2

16) Jesteś autentycznym specjalistą w jednej co najmniej dziedzinie ważnej w Twojej placówce. 5, 4, 3, 2

17) Jesteś na bieżąco zorientowany we współczesnych osiągnięciach ruchu postępu pedagogicznego istotnego dla działalności Twojej placówki. 5, 4, 3, 2

III

18) Pragniesz osiągnąć wyższe wykształcenie i czynnie aspiracje te realizujesz. 5, 4, 3, 2

19) Energicznie, samodzielnie przebijasz się, aby osiągnąć wyższą pozycję społeczną i zawodową. 5, 4, 3, 2

20) Chcesz w życiu dużo osiągnąć. 5, 4, 3, 2

21) Masz o sobie pozytywne mniemanie. 5, 4, 3, 2

22) Odczuwasz potrzebę, aby być chwalonym i nagradzanym. 5, 4, 3, 2

SPOSÓB INTERPRETACJI

W skali ogólnej:

Jeżeli otrzymałeś — 44 do 55 punktów — przykro nam, ale raczej nie masz czego szukać na kierowniczych stanowiskach.

Ani predyspozycje osobowościowe, ani poziom fachowej wiedzy i aspiracji nie rokują sukcesów w „skórze” dyrektorskiej. Nie znaczy to, oczywiście, że nie możesz osiągnąć powodzenia w innych rolach i dziedzinach życia, w których nie odgrywa zasadniczego znaczenia „zmysł kierowniczy”.

56—78 punktów — nie jesteś może idealnym materiałem na kierownika, ale... Jeśli bardzo Ci na tym zależy, jeśli widzisz w tym cel swej pracy, możesz dojść do umiejętności całkiem przyzwoitego kierowania zespołami ludzkimi. Trzeba jednak pracować nad sobą. I to dużo.

79—98 punktów — jesteś idealnym kierownikiem. No, powiedzmy, bliskim ideału. Twoja osobowość pasuje jak ulań do roli kierownika. Znasz teorie kierowania, masz duże aspiracje dyrektorskie. Wypada ci tylko życzyć powodzenia.

99—110 punktów — to najwyższy wskaźnik dla dobrego kierownika, lecz... coś tu jest za dobrze. Może zbyt rozumiałość i instrumentalny stosunek do ludzi, a może zbyt wysokie aspiracje, zbyt pewność siebie, zbyt pozytywna ocena swego „ja”? Zastanów się, spytaj kolegów, jak oni Cię widzą. Bardziej obiektywne spojrz na siebie.

Możesz także dokładniej przyjrzeć się sobie w wymiarze trzech skal szczegółowych.

I — skala ogólnych cech osobowości.

Jeśli otrzymałeś 24—30 punktów — charakterem po prostu nie pasujesz do funkcji kierowniczych. Nie te zainteresowania, zdolności, skłonności; 31—43 lub 44—56 punktów czyni to z Ciebie mniej lub bardziej (w zależności od liczby punktów) interesujący „materiał” dyrektorski. Póki co, bardziej jesteś urodzonym przywódcą niż dyrektorem; 56—60 punktów — trochę przesadziłeś w samoocenie, uważaj, aby inni Cię zaakceptowali. Więcej skromności. Jeżeli już jesteś dyrektorem bądź kierującym ludźmi w inny sposób, koniecznie zmień styl. Więcej demokracji, więcej słuchania podwładnych. Na pewno pomoże.

II — skala wiadomości.

Jeśli uzbierałeś 10—12 punktów — brak Ci elementarnej wiedzy o kierowaniu. Przeczytaj co nieco, a później się zobacz; 13—21 punktów — teoria nie jest twoją najmocniejszą stroną, trochę coś tam „liznałeś”, ale w trakcie pełnienia funkcji kierowniczych powinienes się dokształcać; 22—25 punktów — możesz dość spokojnie pracować na stołku dyrektorskim. Posiadasz sporo wiedzy, to fakt. Ale nigdy nie zapominaj sięgnąć po coś nowego. To zawsze się przyda.

III — skala aspiracji.

Jeśli uzyskałeś 1—12 punktów — jesteś raczej nieśmiały i pełen kompleksów. Nie radzę wchodzić na świecznik. Nie poradzisz sobie; 12—21 punktów — to wynik rokujący nadzieję na dobrą realizację Twoich aspiracji kierowniczych. Pod warunkiem, że jeśli już będziesz szefem, bardziej zadbasz o swoją instytucję niż siebie samego; 22—25 punktów — źle. Nadmiar aspiracji. Wróć na ziemię. Wybujałe ambicje mogą Cię zgubić. Zanim więc pomyślisz o kierowaniu, solidnie popracuj nad własnym usposobieniem, charakterem. Jeszcze raz zrewiduj swoje ambicje.

Oprac. dr ANDRZEJ ROYKIEWICZ

OGŁOSZENIA

Małżeństwo nauczycielskie, mgr nauczania początkowego, mgr wychowania fizycznego (obydwój z 5-letnim stażem pracy), podejmie pracę w szkole od września 1983 roku. Warunek: samodzielne mieszkanie. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, dla nr 54.

K 54

Mgr filologii romańskiej poszukuje pracy (nauka francuskiego lub łaciny). Oferty: Wydawnictwo Współczesne ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, dla nr 55.

K 55

Nauczycielki: 25 lat praktyki (historia) i 2 lata praktyki (nauczanie początkowe), poszukują pracy w tej samej miejscowości lub pobliskiej. Warunek: mieszkanie. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, dla nr 56.

K 56

Mgr historii, kilkunastoletni staż nauczycielski w szkole średniej, ostatnio kilka lat na stanowisku dyrektora szkoły podstawowej podejmie pracę od 1.09.1983 r. Warunek: małe komfortowe mieszkanie, najchętniej na Dolnym Śląsku. Stanisław Lech, Pomorska 61/10, 50-217 Wrocław.

K 58

Nauczycielka (mgr filologii polskiej) podejmie pracę w szkole średniej na Śląsku. Warunek: mieszkanie w internacie. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, dla nr 62.

K 62

Nauczycielka, ukończone SWP, 6-letni staż pracy, podejmie pracę w szkole, przedszkolu. Warunek: mieszkanie rodzinne. Bożena Porolniczak, ul. Poleska 26/2, Wrocław.

K 63

Wychowawca — długoletni staż, kwalifikacje — podejmie pracę w miejscowości górskiej, nadmorskiej, jeziora, lasy, uzdrowiska (zakłady opiekuńcze, lecznicze, internaty). Mieszkanie niekonieczne. Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, dla nr 68.

K 68

Nauczycielka z ukończonym Studium Wychowania Przedszkolnego podejmie pracę na wsi. Warunek: mieszkanie rodzinne. Eulalia Miniśewska, 89-200 Szubin, Winnica 67.

K 67

Małżeństwo magistrów matematyki, staż 7, 12 lat poszukuje pracy w szkole. Warunek: mieszkanie rodzinne. Urszula Sawa, Szczotki 56/1, 43-323 Czechowice-Dziedzice.

K 66

Mgr matematyki (WSP) podejmie pracę w szkole. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, dla nr 65.

K 65

KONKURS NA EKSLIBRIS SZKOLNY

Zakład Usług Socjalnych Resortu Oświaty i Wychowania i redakcja „Głosu Nauczycielskiego” ogłaszają konkurs na znak książkowy szkół i bibliotek szkolnych.

Celem konkursu jest zebranie i upowszechnienie najpiękniejszych ekslibrisów, wykonanych przez pracowników oświaty i wychowania, a poświęconych szkołom i bibliotekom szkolnym.

W konkursie na ekslibris szkolny można nadsyłać tylko oryginalne znaki książkowe szkół i bibliotek szkolnych, do tej pory nigdzie nie upowszechniane. Ilość prac zgłoszonych na konkurs oraz technika wykonania — dowolna (np. drzeworyt, linoryt, inne). Format prac nie może przekraczać wielkości zwykłej pocztówki.

Termin nadsyłania prac upływa 20 października 1983 r. Prace — po dwa egzemplarze każda — opatrzone godłem — należy przesyłać pod adresem: Zakład Usług Socjalnych Resortu Oświaty i Wychowania, ul. Spasowskiego 6/8; 00-389 Warszawa z dopiskiem na kopercie „Konkurs na ekslibris”. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę z godłem, zawierającą w środku imię, nazwisko i adres autora.

Przewiduje się następujące nagrody:

- I nagroda — 8000 zł;
- II nagroda — 6000 zł;
- III nagroda — 5000 zł;
- pięć wyróżnień po 2000 zł

Po zamknięciu konkursu zostanie zorganizowana wystawa oraz wydany będzie katalog z reprodukcjami nagrodzonych i wyróżnionych ekslibrisów, które będą też reprodukowane w czasopiśmie oświatowym.

UWAGA: Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Magister fizyki SN (zpt, plastyka), wieloletni staż, podejmie pracę w szkole od września. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Wydawnictwo Współczesne, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, dla nr 64.

K-64

Małżeństwo (filologia polska, wych. fizyczne) podejmie pracę do 1 września br. w każdej szkole. Warunek: mieszkanie z wygodami. Barbara Tarczyńska, 41-813 Zabrze, Wawrzyńskie 11.

K-30

Mgr inż. zootechniki, 4-letni staż pedagogiczny, podejmie pracę od 1 września br. w szkole rolniczej (przedmioty rolnicze) lub podstawowej (biologia, chemia). Warunek: mieszkanie rodzinne, może być na wsi. Z. Hudyma, 1 Maja 55/8, 78-400 Szczecinek.

K-72

Małżeństwo magistrów jęz. rosyjskiego (4- i 2-letni staż) podejmie pracę w mieście lub na wsi (z dobrym dojazdem do miasta). Warunek: mieszkanie z wygodami. Oferty: Zenon Wilk, 64-510 Wronki, Osiedle Słowackiego 4a/3.

K-74

Małżeństwo nauczycielskie, pedagog specjalny, posiadający kwalifikacje logopedyczne oraz nauczyciel fizyki i chemii (oboje z wykształceniem wyższym i kilkuletnim stażem) poszukują pracy w szkolnictwie. Warunek: mieszkanie rodzinne z wygodami. D. Dudek, 47-120 Zawadzkie, Opolska 48/13.

K-73

Sztandary szkolne i harcerskie wykonuje wyspecjalizowana Pracownia „Mała Artystyczna” — mistrzowie Zofia i Henryk Kiedzik, ul. Kościuszki 78 (narożnik ul. Armii Czerwonej 77) 61-882 Poznań telefon 502-14. Naerodzona medalami gwarantuje najwyższą jakość wykonania oraz dotrzymania terminów Szeroka rozpiętość cen.

Relaks, usługi matrymonialne. Psycholog Łódź 7, skrytka 63.

K 52

Uwaga szkoły!

Krzewy róż wielokwiatowe i dekoracyjne najpiękniejsze kolory, kwitnące do mrozów (wysylam minimum 10 sztuk) oraz krzewy żywopłotowe (liguster) poleca Plantacja Róż 29-100 Włoszczowa, ul. Jadrzejowska 66, tel. 350

K 51

PRACOWNICY POSZUKIWANI

Dyrekcja Specjalnego Zakładu Poprawczego w Krakowie ul. Witkowska — Boczna 5 zatrudni wychowawców. Oferujemy bardzo dobre warunki placowe i socjalne.

K-69



TYGODNIK ODZNACZONY ZŁOTĄ ODZNAKĄ ZNP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Maria Kalinska (zastępca sekretarza redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Walentyna Łapińska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Bożena Niedziółka, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rogalska (kierownik działu), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salanski, Wojciech Sierakowski, Halina Szymczak, Henryka Witalewska (kierownik działu), Zdzisław Nowak, Jan Rocki (redaktorzy graficzni). Kierownik administracyjny — Aniela Pawlak, korekta — Irena Kościelniak, Magdalena Paprzycka.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30. Tekstów nie zamawiających redakcji nie zwraca, zastrzegamy też sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Ogłoszenia przyjmuje: Wydawnictwo Współczesne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa Dział Wydawniczy, tel. 23-24-11 wew. 195. Ceny ogłoszeń: urzędowych 95 zł za 1 cm², drobnych 30 zł za 1 wyraz (rabat 50 proc. od ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy). Za przyjmowanie i wydawanie ofert pobiera się opłatę dodatkową w wysokości 50 zł. Brakujące numery „Głosu” można zamówić pod adresem: Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” — Dział Prasy Zdeaktualizowanej, ul. Towarowa 38, 00-839 Warszawa, tel. 20-12-71 wew. 249.

Warunki prenumeraty: Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i takich, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Pozostałe w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Termin wpłat upływa 10 każdego miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę indywidualną zamieszkałą na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Zamieszkałą w miastach będących siedzibą RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w swoich urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych. Termin wpłat upływa: 31 maja — na III kwartał i II półrocze br., 31 sierpnia — na IV kwartał br.

Wpłaty dokonywać prosimy na „blankietie wpłat” na rachunek bankowy Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-838 Warszawa, nr konta NRD XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-138-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę wpłaca się pod tym samym adresem. Wysyłka za granicę kosztuje 20% więcej niż dłużej od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy.

Koszty prenumeraty krajowej: kwartalnie — 130 zł, półrocznie — 260 zł, rocznie — 520 zł.

Prasa: Prace Zakładu Graficznego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86, 02-017 Warszawa. Nakład 70 000 egz.

M-84

CZY
MOŻE BYĆ
SZKOŁA
BEZ
„GŁOSU”?

Oczywiście — tylko jaka to będzie szkoła?

- Będzie to szkoła pozbawiona bieżącej informacji o najistotniejszych sprawach oświaty i wychowania.
- Będzie to szkoła pozbawiona bieżącej informacji o nauczycielskim ruchu zawodowym.
- Będzie to szkoła, w której nauczyciele nie znają aktualnych aktów wykonawczych, zarządzeń oraz innych istotnych dokumentów wydawanych przez resort oświaty i wychowania.
- Będzie to szkoła bez „Zeszytów Historycznych Głosu Nauczycielskiego” wydawanych w co drugim numerze.
- Będzie to wreszcie szkoła, w której nauczyciele pozbawieni są możliwości zapoznania się z ważnymi dyskusjami dotyczącymi węzłowych tematów edukacji narodowej, kształcenia i doskonalenia kadr pedagogicznych, stopni specjalizacji...

DLATEGO UWAZAMY, IŻ NIE MOŻE BYĆ SZKOŁY BEZ „GŁOSU NAUCZYCIELSKIEGO”.

Muszą o tym wiedzieć również kuratorzy, inspektorzy oraz dyrektorzy wszystkich placówek oświatowo-wychowawczych w Polsce, od których między innymi zależy zaprenumerowanie „Głosu Nauczycielskiego”!

Na prenumeratę „Głosu” pieniądze muszą się znaleźć w każdej szkole!

NASZA ANKIETA

Z „GŁOSEM” NA CO DZIEŃ

W poczcie redakcyjnej znajdujemy wciąż wiele listów, których autorzy skarżą się na trudności ze zdobyciem naszego tygodnika. A jednocześnie piszą, że chcieliby go czytać, że jest im potrzebny, że przynosi materiały i informacje niezbędne nauczycielowi. Trudności ze zdobyciem pisma potwierdzają także liczne telefony z prośbą: „Zróbcie coś, aby „Głos” był wreszcie dostępny dla wszystkich. Nie ma go w kioskach „Ruchu”, w szkole także pojawia się jak meteor. A „Głos” powinien być dostępny na co dzień”.

I my tak sądzimy. Więcej, uważamy, że jest to możliwe. Zanim jednak zaproponujemy rozwiązanie, chcielibyśmy zorientować się, jak to naprawdę jest z „Głosem”? Ty, Czytelniku, możesz nam w tym pomóc, odpowiadając na naszą błyskawiczną ankietę. Wspólnie ustalimy, czy „Głos” dociera do szkół, czy jest dostępny, czy można go zaprenumerować lub kupić w kiosku.

Wśród uczestników ankiety rozlosujemy nagrody książkowe.

1. Jak zdobywasz „Głos”? (podkreśl właściwą odpowiedź) ● w prenumeracie ● kupuję w kiosku ● w bibliotece ● czytam w zszwyce w pokoju nauczycielskim ● pożyczam od kolegów.
2. Ile egzemplarzy prenumeruje Twoja placówka? (podaj ilość i rodzaj placówki — typ szkoły, przedszkole, zakład wychowawczy, dom dziecka itp.)
3. Jeśli orientujesz się, ile osób czyta „Głos” w Twojej placówce, podaj ich liczbę
4. Jeśli wiesz, ile osób w Twojej placówce prenumeruje „Głos”, a ile kupuje (podaj odpowiednie liczby): ● prenumeruje ● kupuje
5. Czy zdarza się, aby „Głos” był zalecany do czytania przez dyrektora, wizytatora? (podkreśl właściwą odpowiedź) ● tak ● nie.
6. Czy artykuły zawarte w „Głosie” są dyskutowane: ● na radach pedagogicznych ● na konferencjach problemowych na wybrane tematy ● w pokoju nauczycielskim? (podkreśl właściwą odpowiedź)
7. Czy masz i jakie trudności z zaprenumerowaniem „Głosu” na poczcie? (jeśli tak, wyszczególnij je) :
8. Czy Twoja organizacja związkowa załatwiła (lub załatwia) prenumeratę „Głosu”?
9. Iloma egzemplarzami „Głosu” w tygodniu dysponuje najbliższy kiosk „Ruchu”? Czy ta ilość wystarcza? (podaj adres, numeru kiosku, ilość egzemplarzy i odpowiedź tak lub nie)
10. W którym znanym Ci punkcie sprzedaży „Głos” nie jest rozprzedawany? (podaj adres i numer kiosku oraz ilość zwrotów)
11. Jakie masz propozycje w zakresie poprawy kolportażu pisma? (podkreśl akceptowane propozycje) ● zwiększyć prenumeratę w szkołach do kilku egzemplarzy ● zwiększyć prenumeratę indywidualną ● zorganizować prenumeratę w organizacjach związkowych ● zwiększyć liczbę egzemplarzy w kioskach ● zorganizować sprzedaż przez samorząd uczniowski, harcerzy.
12. Może masz inne propozycje, podaj je:

Na zakończenie prosimy o następujące dane:

Imię i nazwisko:
Adres domowy
Nazwa i adres placówki, w której pracujesz

Odpowiedzi na ankietę prosimy nadsyłać pod adresem „Głosu” do 15 kwietnia. O udziale w losowaniu nagród decyduje data stempla pocztowego.

DZIEKUJEMY.



FRASZKI

REKOMPENSATA

Dawniej wtrącał trzy grosze
Jako swoje racje.
Dziś dorzuca złotych...
Uwzględnił inflację!

Ryszard Przymus

BŁĄDZENIE

Błądził wiele razy
przez te...
drogowskazy.

PRZESTROGA

Stracił poparcie.
Milczał zbyt otwarcie.

Wiesław Czermak

KWALIFIKACJE
NA ŚWIĘTEGO

Nie dość mieć
do poświęceń chęci,
trzeba też wiedzieć,
co się święci.

SZTUKA

Sztuką jest dobrze
utwór odtworzyć,
kiedy fałszują
kompozytorzy.

SPUŚCIZNA

Państwo przejęło
lasy, pola, zamki
i trzymających się
pańskiej kłamki.

Jerzy Leszczyński

ZA TYDZIEŃ

● „SKARB” W CZASOWICZA
czyli
gdzie i za ile pojechać na
wakacje

● PONADTO wiele tekstów,
z którymi każdy nauczyciel
powinien się zapoznać!

Ten numer musi koniecznie
kupić każdy czytelnik
i sympatyk „Głosu”

LITERACKI GŁOS NAUCZYCIELSKI

Nr 2 (83). Rok 1983

REDAGOWANY PRZY WSPÓŁDZIALE NAUCZYCIELSKICH KLUBÓW
LITERACKICH

HENRYK MORAWSKI

KONKURS (NA POMNIK POZYTYWNEGO BOHATERA)

W pewnym mieście rozpisano konkurs na pomnik bohatera. Projektów — zgodnie z oczekiwaniami — napłynęło wiele. Eliminacje były bardzo surowe. Jury obradowało jawnie. Podekscytowany tłum mocno napierał na podest, na którym zajęli miejsca surowi jurorzy. Z ust do ust podawano sobie nie sprawdzone wieści, że — jak nigdy dotąd — będzie to konkurs-niespodzianka, bez (jak dotąd bywało) faworytów.

To, co się wrótce zdarzyło, przeszło najśmielsze oczekiwania i przypominało prawdziwe trzęsienie ziemi. Oto bowiem odpadły — i to jako pierwsze w biegu na cokolwiek — kandydatury świętych asceatów, ślepych na ziemię. Jako drudzy przypadli znani krzykacze, bełkocący wielkie słowa spuchniętymi ustami. Ich los podzielił niebawem — ku zaskoczeniu obecnych — szermierze wszelkiej równości, rażący jurorów szarością na tle pawich kłębow każdy oraz — o dziwo — inkwizytorzy prawdy, beznamiętni tropiciele ludzkich słabości. Skreślono także — ku zgorzgnięciu niektórych — kandydatury piomien-

nych rewolucjonistów, chorych nieuleczalnie (jak uzasadniono) na bezwzględność, a nawet chmurnych bohaterów pracy, którym wielu jurorów zarzuciło rażącą i jakoby nieludzką nieznajomość smaku słodkiego far niente. Jeden z jurorów zmusił łaknących tylko łatwej sensacji do pewnego wysiłku myślowego, głosząc obrazoburczo, że prawdziwe ideały nie są wolne od grzechów i wad.

Powoli tracono już nadzieję na rozstrzygnięcie konkursu, gdy nagle z tłumu widzów wybiegła mała dziewięcioletnia dziewczynka, przyciskając mocno do piersi śmieszne ratlerka. Zapłakana podbiegła do zaskoczonych jurorów i podając pieska jednemu z nich powiedziała, pociągając mocno nosem, że panowie muszą oddać ratlerka samotnej staruszce, która ogłosiła w tej sprawie apel radiowy. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, dziewczynka odeszła szybko, uśmiechając się bohater-sko przez łzy.

Dostojne jury jednomyślnie zdecydowało, że na cokolwiek należy wynieść złote serce. Burzliwe oklaski zebranych potwierdziły słuszność tej decyzji.

*

Jak potem mówiono: w wyniku niespodziewanego zdarzenia — w ostatniej chwili wycofał swoją kandydaturę z turnieju pewien uznany literat. Decyzję tę umotywował faktem zrozumienia prawdy, że — jak twierdził — bezpowrotnie minęły czasy, gdy każdy mniemając o swojej wielkości mógł bez fałszu powiedzieć: „Exegi monumentum...”.

Notę o HENRYKU MORAWSKIM zamieściliśmy w 2 numerze „Literackiego Głosu Nauczycielskiego” z 1982 r.

ANDRZEJ
WOJCIECH GUZEK

ODLOTY IKARÓW

Notę o ANDRZEJU GUZKU zamieściliśmy w 3 numerze „Literackiego Głosu Nauczycielskiego” z 1982 r.

Koło południa przeciągają nad miastem stada Ikarów, klucze bezimiennych Ikarów w odwiecznym locie instynktu w stronę Aten, Sparty, albo ku warownym brzegom Itaki. Tuż za rogatkami dopada ich jednak krzywy oścień słońca. Więc bez protestu, tylko w ślepych furkocie rozszczepionych skrzydeł wałęsa się jak kamień o wodę w grzęzawiska asfaltu. Nikogo to już nawet nie dziwi. Jedynie od czasu do czasu miejscowi starcy wróżąc pogodę mówią: „Ludziom znowu opadają skrzydła. Będzie chłodniej”.

TO JUŻ 15 LAT...

We wrześniu bieżącego roku mija 15 lat od momentu ukazania się w „Głosie Nauczycielskim” pierwszej wkladki literackiej. Z okazji tego piętnastolecia będziemy prezentować w najbliższych numerach „Literackiego Głosu Nauczycielskiego” sylwetki kolegów chlubiących się najpoważniejszym dorobkiem twórczym. Rozpoczynamy od Zbigniewa Strzałkowskiego (str. 3) — pisarza i plastyka, którego grafiki ilustrują niniejszy numer.



Odpoczywająca

Zb. Strzałkowski, linoryt

ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI

MATKA

W gronie najpiękniejszych Madonn okrytych cieniem popołudnia Nachylona nad najmłodszym synem stała matka śnieżnobiała. Kasztanowe włosy gęstą siecią krzewy płomieniem związały. W dłonie chłopcu podała srebrny kiść agrestu: odeszła w błękit. Próżno biegałem po mrocznych korytarzach wołając jej imienia. Ludzie litowali się nad moim losem wojennym — błogosławili Biegłem krajobrazem żniwnym zapatrzonej w ostrą szramę nocy Trzymając w ustach najdroższe słowo świata: Mamo!

Przez uchylone drzwi ogrodu żona w dziewczęcej sukni wiosny Prowadzi córkę w głąb przewiewnego cienia — tu się zaczyna katedra ciszy I obie klękają radośnie; dwie białe plamy w obłoku zieleni. Raz jeszcze dzieckiem się staję i ufnie z matką idę ciemną ścieżką Mijając zbocza groźnych twarzy co syczą chrzęstem wrogich słów. Cóż mogą czarne anioły i ich trywialny śmiech? Idę mocno trzymając w swej dłoni dłoń ukochanej matki.

Ten portret ma dwa lśniące profile: Madonny, gdy niosła mnie porankiem w kwitnienie sadu jabłonnego I jako ofiarę pierwotnego złożyła w przedsionku nadziei; Kobiety o twarzach jak ziemia zniszczonej wiatrami i bombami, Pełna bolesnej zadumy lecz ponad własne cierpienia i poniżenia Zatroskana szczęściem naszego dnia powszedniego.

Tak matka wypłaca dług miłosny — milczącym zapatrzeniem w syna. O każdej porze gotowa przybiec z wiekuiestą otchłani I swą boską królewskość zamienić na suknię służącej.

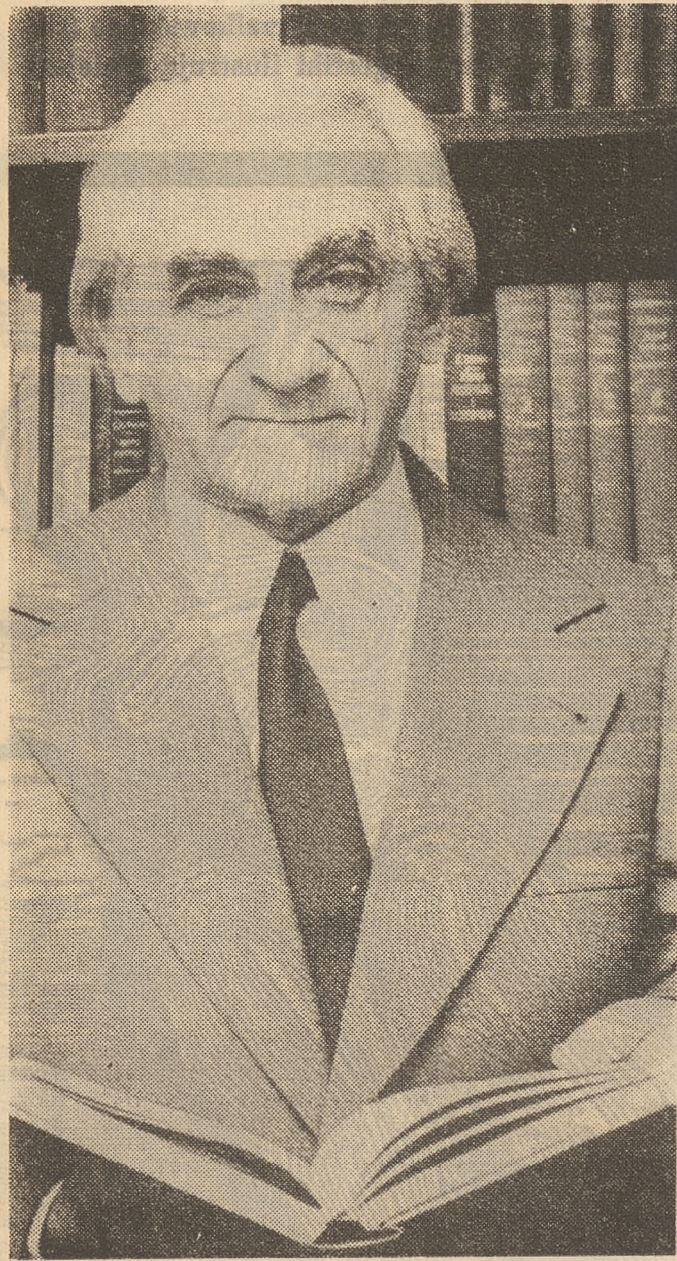
Zamość — Biblioteka wojewódzka
Zb. Strzałkowski, linoryt



GŁOS LITERACKI

W lutym br. zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, Mieczysław Jastrun — poeta, eseista, prozaik i tłumacz. Ów „Książę poezji” jak Go nazywano — autor takich tomików i książek, jak „Strumień i milczenie”, „Godzina strzeżona”, „Rzecz ludzka”, „Rok urodzaju”, „Barwy ziemi”, „Gorący popiół”, „Genezy” czy „Mit śródziemnomorski” i „Walka o słowo”, jest nam szczególnie bliski nie tylko dzięki pełnym humanistycznej treści i historiozoficznej refleksji — utworom. Jest on nam wyjątkowo bliski również i dlatego, że był także nauczycielem; przez wiele lat pracował w szkołach średnich jako polonista.

Żegnamy Mieczysława Jastruna przypomnieniem fragmentów jednego z najpiękniejszych Jego utworów — „Poematu o mowie polskiej”.



Fot. CAF

MIECZYSLAW JASTRUN

POEMAT O MOWIE POLSKIEJ

(FRAGMENTY)

Człowiek ze swoją mową zrośnięty jest ciałem
Niż drzewo z ziemią. Jakże więc nie kochać baśni
Twego dzieciństwa, mowo, nad której kołyską
Szumiały wieki księgą lasów świętokrzyską,
Gdzie słowa formowały się, zdźwięczały głoski,
Rdzeń wyrazów obrastał w zielone odrostki,
I ten język szlachecki, mieszczański i chłopski
Twardą korą okrywał się, oblekał w dzieje —
I długo pracowali prości kołodzieje
I stroiciele luteń w gwarze gospodarstwa
Słowotwórczego, zanim dźwięk sztuka drukarska
Przełożyła na znaki odcisniętych liter.
Tak rósł potoczny język Rzeczypospolitej,
Tak ustalał akcenty, znaczeniami błyskał,
W aktach grodzkich, duchownych, w sądowych zapiskach
Bil się o swoje prawo z kościelną łaciną,
Pod jej marmurowymi płytami nie zginał,
Wyszedł na rynki miejskie, ambon nie oszczędził,
Piosenką wiejską zatrzepotał, załabędził,
Wśród niemieckiego gwaru kupców i kramarzy
Wyrósł niby białodrzew. Z łacińskich ementarzy
Zerwał tablice, spójrz! na drukarnie naciera
Unglera i Hallera, i Szarffenbergera —
Aż zaczęły odbijać Żywoty i Pieśni.
Statuty i Psalterze w mowie — dotąd leśnej.
Przed biskupim, królewskim dworem czoła nie zginał,
Lecz Commune Poloniae Regni Privilegium
Wydał w brzmieniu ojczystym, co się sobą szczyści,
Na pokoje wawelskie z łacińskich oficyn,
Na frontony kamienie, na szyldy drukarni
Wszedł jak pasterz, gdy wchodzi do swojej owczarni.

.....
To cóż, że innym świata narodom nie znana,
Jeśliś w kwiatach wiosennych łąk wykołysana!
W tobie tylko naprawdę można myśleć, marzyć,
Gminna, dziecinna i doświadczona jak starzec.
Ty słuchasz dzisiaj gwaru ulicy stołecznej,
Jak klnie szofer i monter, przez piątę, dziesiątę
Chwytasz nowe wyrazy.. Wspomnij dzień słoneczny,
Gdy na ziemi litewskiej, jak kanonier lontem,
Mową, po której echo jeszcze gra, zagadał.
Od pieśni jego Polska zadrzęła w posadach.
Tysiąc lat leci w chmurze — kiedy ręką skinię.
Tysiąc lat, gdy zawoła, przepada w głębinie.
Góry podniebne zmieniają na morskie przepaście,
A przepaście podzwigał w góry. Patrzcie! patrzcie!
Zawisnął tam jak obłok — a nam się wciąż zdaje,
Że to głos jego powtarzają lasy, gaje.
Ptaki w leszczynach, usta ludzi i ruczaje.
Gdy zechce — bosa stopa nastąpi na zmię
Bez szkody, jelen w zgodzie z lwem u źródła pije.
Gdy zechce — to koguty pieją jak prorocy
I słońce wschodzi we łzach radości po nocy.

.....
Ręka, która wyjmuje tom ze szczelnej polki,
Nie drży... bo duch jest lekki i jedynie waży
Oprawa, papier. Chłopiec jasnowłosy utkwiał
Wzrok w górnym rzędzie. Zachwyt nie schodzi mu z twarzy.
Pośród książek, co stoją w ściśniętych szeregach,
W różnych barwach okładek, spokojnie i czujnie,
Jest książka nieczytana o niekniętych brzegach,
Która czeka na chwilę, aby żyć podwójnie.
Czyje palce jej dotkną i źrenice czyje,
Powoli najpierw i z ciekawością oszczędną,
A później prędzej, jak ptak, co ze źródła pije,
Podnosząc się i opuszczając pić z niej będą?
Jeszcze takich: od roli, maszyn i warsztatów,
Czytelników nie znała stara biblioteka,
Jak matka siwa, która zasiadła wśród kwiatów,
By święcić narodziny nowego człowieka.

LESZEK BAKUŁA

rozdiablił się nade mną
los mi się rozpasal
pozbiarałem się wszystek
od Sasa do Lasa
rozanielił się we mnie
sam szatan Lucyfer
łodzi co ma iść na dno
pierwszy lepszy szyper
rozhuścił mi sztorm ziemię
panno nad pannami
idziemy nie przejeździ
zawsze tacy sami

.....
zostanie po mnie wyrwa w ziemi
którą zaklepie grabarz szpadlem
i kilku świadków tego niemych
nad morzem sztorm a w Narwi wiatr

.....
zostaną po mnie dwie jedności
środków i celów — żółty piach
i nadnarwiańska ziemia marna
o bliskich wielki strach

.....
nie chcąc już wiedzieć co zostanie
choć tak bym wiedzieć chciał
serc ludzkich wieczne obcowanie
wyobcowanie ciał

.....
zostanie po mnie krzyk rybitwy
nad Narwią narowistą

.....
zostanie po mnie prócz niego
wszystko

LESZEK BAKUŁA — nauczyciel szkoły średniej w Słupsku, zamieszkały w Uście. Autor kilku tomików poezji i powieści. Członek ZLP. Jego powieść pt. „Wizna” recenzowaliśmy w 3 numerze „Literackiego Głosu Nauczycielskiego” z 1982 r.

MICHAŁ DALECKI

O STAROŚCI

Gdy już się dobrze wysłuży
wywdzięczą i wykupią suto
zgarną cicho
stare dzieje w tobołki
uciulane ischiasze i reumatyzmy
w dom spokojnej starości:
pokoiki przytulne
firanczki wesołe
czuwające lampki
poduszeczki mięciutkie
wilgotne od łez:
jakieś ojce jakieś matki
jakieś dzieci —
takie s o b i e anonimy.

MICHAŁ DALECKI uprawia prozę, poezję i krytykę literacką. Nauczyciel szkół średnich w Łodzi. Wieloletni przewodniczący Nauczycielskiego Klubu Literackiego w tym mieście.

JANINA PECHERSKA-SZCZEPKA

KOMAROWE TONY

Gdy radio krzyczy, gdy trwam w obstrzałe monologu sąsiada, pośród podwójnych i potrójnych dzwonek u drzwi, ławiny nóg chłopaków na schodach, bębnieńia w fortepian nade mną, marzę o was komarowych tonach — przedśionku ciszy doskonałej.

Przed laty doszły moich zmysłów podczas maminej recytacji Koncertu Jankie-la w słowach ściszonych do pianissima w dźwiękach-muszkach ledwo jęczących na sieci pajęczej.

Ile to razy potem poznawałam je w dogasaniu harcerskiego ogniska, w poszumie lasu pod wieczór, w skrzypieniu koła w piaskowej koleinie, w chodzie chrabaszcza na parapecie okna, w klaskaniu dzikich kaczek po zachodzie słońca, w opadaniu liści i własnych rąk w geście pojednania.

WYZNANIE

Co najbardziej cenię?

— wolność.

Co najmniej?

— przymus.

Moje sukcesy?

— z przymusu.

Moje klęski?

— z wolności.

KAZIMIERZ J. WĘGRZYN

PYTANIE MOJEGO POKOLENIA

nie wyprowadzano nas na wolność
przez komin
nie nosimy w ciele
żelaznych okrucich
ani śladów ognia
nie straszył nas
czarny złamany krzyż
mieliliśmy pod dostatkiem
chleba
książek
i
ojczyzny
skąd więc?
na naszych sercach
— tyle śmiertelnych blizn

POWRÓT

...pamiętam mur zielony zboża
co pieszczotliwie bił po twarzy
gdy ścieżką pełną bieglem naprzód
— ufny w potęgę twych ołtarzy...

Owa polna ścieżka biegnąca od szosy
przez pola — wydała mi się tym razem
krótsza i mniej ciekawa. Dom był ogro-
dzony teraz metalową siatką, sam jednak
wydawał się mniejszy i jakby przygarbiony.
Stojący dawniej samotnie wśród sadu
i wzgórz, teraz otoczony był zewsząd są-
siadami wypinającymi tynkowane torsy
durnie i z wyższością. Mówiło się kiedyś
o nas — „ci z Lysej Góry” — dzisiaj była
to góra wielu ludzkich gniazd.

Biegnąca nieopodal szosa była teraz szer-
sza Szeregi wierzb po obu stronach zosta-
ły wycięte. Widać było lepiej smukłą wie-
żę kościoła u kresu horyzontu, ale droga
straciła wiele uroku i stała się obca. Bo
jakże ciekawe były owe wierzby ze swoi-
mi niekształtnymi głowami, pełne zaka-
marków i kryjówek, z których obserwo-
waliśmy tajemniczy ruch na drodze. A dro-
ga — to dudniące, ciężko wyladowane
drzewem samochody, nowe twarze, podróz-
ni z innych miejscowości, których nazwy
znałem z opowiadań lub tablic informacyj-
nych stojących z szeroko rozwartymi ra-
mionami na skrzyżowaniu. Zdarzało się, że
na drodze pojawiał się czasem nieznany
zagraniczny pojazd, który budził naszą cie-
kawość światem. Najłatwiej było jednak
towarzyszyć parowym walcem, pracującym
wówczas przy budowie drogi, które ciężko
i powoli poruszały się to w jedną, to w
drugą stronę i co ważniejsze — można było
dokładnie przyrzeć się ich mechanizmom,
a czasem, usmolony człowiek, podobny do
maszynisty parowozu, pozwalał nam wejść
do kabiny i przejechać kilkadziesiąt me-
trów. Zawsze więc takim pojazdom towa-
rzyszyły gromady rozkrzyczanych dzieci aż
po granicę wsi. Gorzej było z traktorzy-
stami. Traktory jeździły szybciej i można
było uczyć się przyczepie jedynie wów-
czas, gdy jechały wyladowane pod górę.
Kierowcy ci z zasady byli jednak mniej
przyjaźni i bywało, że zatrzymywali się,
aby później gonić nas groźbami i prze-
kleństwami. Nie zdarzyło się właściwie,
by któregoś z nas schwytano, ale dla nas
były to pojazdy ostatniej kategorii...

Skreśliłem w stronę domu. Ścieżka była
wydeptana inaczej. Co roku zresztą, mia-
ła inny kształt, ponieważ była zaorywa-
na i na nowo trzeba było ją udeptywać,
wyszukując dogodnych miejsc pomiędzy
wilgotnymi skibami. Kłada pora roku
zmieniała jej otoczenie. Wiosną — były
to tłuste skiby, świeżo zaoranej, czarno-
-brązowej ziemi, pokrywające się później
delikatną jasną zielenią wschodzącego
zboża. Zieleń ta ciemniała, wzrastała, aż
latem — przemieniała się w złoty, szele-
szczący las z rozkołysanym na wietrze
chlebem. Później, wśród dźwięku kos i
upału, wśród troskliwych nawoływań,

znoonej pracowitości i skrzypiących wo-
zów — ścieżkę otaczało ostre, nieprzystęp-
ne ściernisko. Ścieżka najmniej trwała by-
ła zimą. Otoczona białą, zwiewną prze-
strzenią, ginęła po każdej zawieli. Po pra-
wej stronie ustawiony był co roku płot
przeciwśnieźny i przed nim powstawały
olbrzymie zaspasy, przez które brnęliśmy
nieraz kierując się na światło padające z
jedyne go w tej części domu, okna. Szed-
łem ostrożnie ze spuszczonego wzrokiem,
by nie zabrudzić butów. W pewnym mo-
mencie spojrzałem z niepokojem na dom...
W koronie zmartwienia, pochylona pod
brzemieniem lat stała obca kobieta. Ostro-
nie zaczęliśmy rozdmuchiwać popiół
naszych serc.

Notę o KAZIMIERZU WĘGRZYŃNIE zamieszc-
liśmy w 3 numerze „LSN” z 1982 r.



Zb. Strzałkowski

KOMENTARZ POETYCKI DO ŻYCIORYSÓW GÓRNIKÓW

(FRAGMENT)

Już się nad nami zamknęły ostatnie drzwi poranka
Zabierając ze sobą wilgotny śpiew przebudzonych ptaków.
Pod chłodną kopułą świtu zawisło miasto otulone kołdrą snu
Pełne poszarpanych myśli i przedziwnych zdarzeń.

W mlecznym welonie rozpiętym poczwórnie
Pomiędzy ulicami śpi przasną twarz słońca.

Wchodzimy w czarny krajobraz — skalną katedrą prehistorii.
Wystarczy wsłuchać się w rytm zaprzęszonej biologii
Byś stanął pośrodku świętej puszczy — stado idzie do wodopoju,
Wielgachny liść lopianu jest płaszczem jaszczurki polnej.
A pot co ze stropu spływa — łzami wędrownego dinozaura.

Spojrź na ten smolny filar — tysięczne w nim lśnią półtony.
Jeszcze wczoraj otwierał wnętrze nawy rozpięte w nieskończoność.
Teraz jest plecami o które wspiera się pierś maszyn.
Krok po kroku w huku wystrzałów i krzyku mięśni
Otwieramy czarne komnaty boże.
I jest w nas radość zdobywania
I jest smutek pustych jaskiń.

Znam taki zaułek groźny o twarzy rannej lwicy
Co samotrzeć wbiły między echo nocy i gest anioła
Czeka aż go ktoś otworzy na przestrzał.
Chodząc jego obrysem dostrzegam w ostrych faldach
Twarze górników co tędy wracali z szychty
Pewnie i po nas skalny słup zatrzyma
Litanię rozmów. Aż po wielu latach
Jakiś inny górnik w natchnieniu spojrzy
I powie: Pierona, przeca oni idą całą gromadą.
Wystarczy tylko rozwiązać węgielny powrót co im błodra pęta.
Właśnie tutaj — naprzeciw grozy skrycie wbitej w skórę ściany
Człowiek zaczyna pojmnawać sens swego życia.
Bez napuszonych ideologii dochodzi najwyższych praw.
Które stanowią o boskim wymiarze człowieka
I obracają kołem ludzkiego państwa.

NASZE PORTRETY

WIĄZANIE PRZESTRZENI

W naszym ruchu kulturalno-artystycznym jedną z najbardziej interesujących indywidualności jest niewątpliwie **ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI** — i to zarówno ze względu na własny dorobek twórczy, jak też na osiągnięcia w środowisku. Strzałkowski należy do tej kategorii twórców, którym nie wystarczy uprawianie jednej dyscypliny artystycznej. Jego zainteresowania i twórcze uzdolnienia ujawniły się już w okresie studiów uniwersyteckich, przypadających na lata 1957—1961. To właśnie wtedy, studiując historię sztuki, zaczął pisać wiersze, a jednocześnie tworzyć pierwsze prace plastyczne, które począwszy od 1959 roku wysyłał na różne konkursy i prezentował na wystawach zbiorowych. Pracami swoimi młody artysta wczesnie zwrócił uwagę zarówno odbiorców, jak też krytyków sztuki. Nic też dziwnego, że już w kilka lat później został przyjęty do Związku Polskich Artystów Plastyków.

Zbigniew Strzałkowski — jako plastyk — nie stroni wprawdzie od malarstwa, ale z największym zamiłowaniem uprawia grafikę artystyczną i użytkową. W grafice osiągnął właśnie najbardziej znaczące rezultaty: wydał kilka tek ekslibrisów (około 200 znaków książkowych) oraz jest autorem teki „Lublin w grafice” (1974). Jego grafiki znajdują się też w tomach zbiorowych — „Nałęczów w grafice” (1979) oraz „Grafika nauczycieli” (1980). W konkursach graficznych zdobył wiele nagród, jak np. w konkursie na ekslibris — Puław 1978 i Rawicz 1979 oraz w konkursach: „Pejzaże wiejskie” — Płock 1976, Leszno 1978; grafika marynistyczna — Gdańsk 1974; O Srebrną Lampkę Górnictwa — Walbrzych 1976 (za malarstwo).

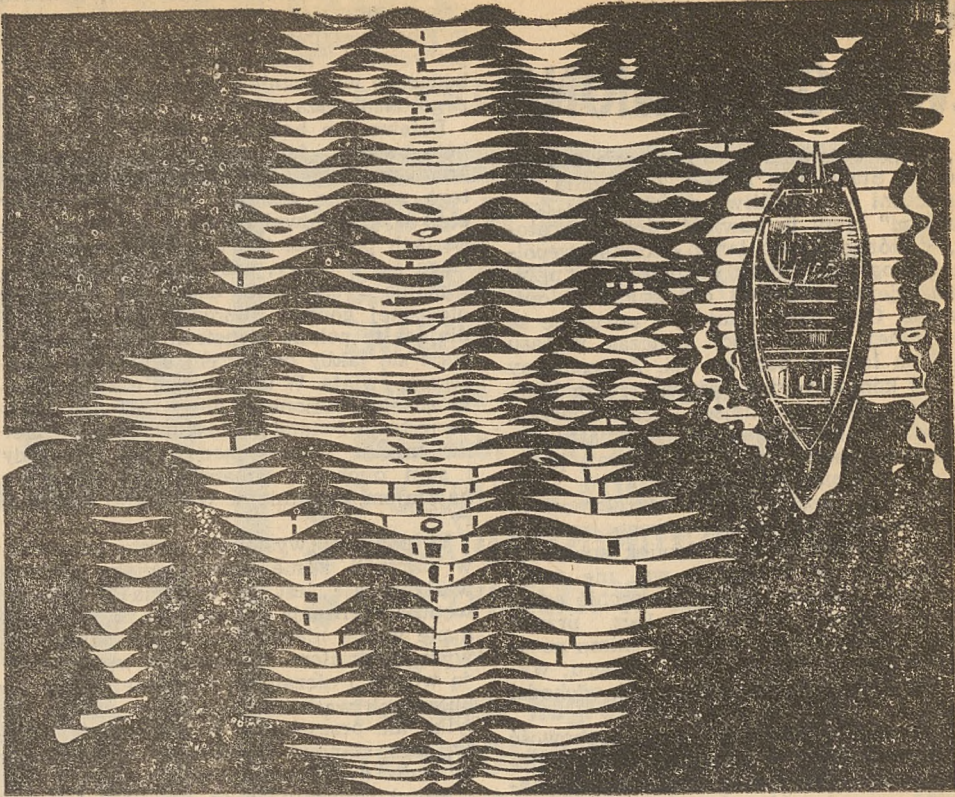
Grafiki Strzałkowskiego o dużych formatach znakomuje pewna surowość i oszczędność środków wyrazu artystycznego. Nie ma w nich miękkich, rozwibrowanych, roztańczonych kresek i linii. Wzajemny stosunek rozmieszczonych na płaszczyźnie plam, kresek i punktów tworzy zazwy-

czaj zwartą, ale raczej statyczną kompozycję całości obrazu, w którym trudno byłoby doszukać się błędów czy tylko potknięć rysunkowych lub kompozycyjnych. Wszystko jest w nich na swoim miejscu i doskonale imituje iluzję głębi, brylowatości.

W przeciwieństwie do prac o dużych wymiarach, wielką różnorodnością formalną i tematyczną charakteryzują się małe dziełka graficzne Strzałkowskiego, jakimi są jego ekslibrisy, w których ujawniła się szeroka inwencja twórcza autora, jego fantazja, dowcip, żart liryczny. W ekslibrisach Strzałkowskiego dochodzi do głosu czytelna symbolika i celna metafora, poruszająca wielkie obszary wyobraźni i zachęcająca swoją wieloznacznością do bardzo różnych interpretacji sygnalizowanych spraw czy problemów. Niektóre ekslibrisy sprawiają wrażenie, iż stały się jedynie pretekstem do twórczych poszukiwań artysty, dążącego do uzyskania jak największego bogactwa graficznych tropów. Małe dziełka zdumiewają wtedy ogromną różnorodnością kresek — precyzyjnej i misternej, aż po zwinną ulotność, czarującą wdziękiem i lekkością.

Zbigniew Strzałkowski ma również na swoim koncie wiele sukcesów literackich. Wielokrotnie był nagradzany i wyróżniany w ogólnopolskich konkursach: w Turniejach Poezji Społecznej Zaangażowanej „Czerwona Róża”, w Łódzkich Wiosnach Poezji, w konkursach o Laur im. J. Czechowicza i w innych. Wydał dotychczas 3 tomy poezji: „Inwokacje zielone” (1965), „Punkt odniesienia” (1969), „Wiązanie przestrzeni” (1972), tom opowiadań pt. „Odmiennianie czasu” (1977) oraz powieść pt. „Dom pełen marzeń” (1979). Na łamach czasopism opublikował ponadto kilkadziesiąt artykułów na różne tematy z zakresu sztuki, literatury i działalności społeczno-kulturalnej. Od 1970 roku jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Twórczość poetycka Strzałkowskiego była oceniana początkowo bardzo różnie. Krytyka tradycyjna — polonistyczna zarzucała jej najczęściej pewną nieźborność



Spokojne morze

Zb. Strzałkowski, linoryt

i rozwichrzenie, wielosłowie. Zupełnie inaczej te same wiersze były przyjmowane przez poetów. „Z przyjemnością wchodzę w wielki horyzont przedstawieniowy i intelektualny poezji Strzałkowskiego — pisał Waldemar Michalski¹⁾. — Jest to świat zaskakujących skojarzeń, pełen akcentów kulturowych aluzji i paraleli. Strzałkowski tworzy go z wyselekcjonowanych znaczeniowo obrazów(...) Poezja ta nie opisuje, ale tworzy nowy poetycki świat(...) Strzałkowski w swych wierszach (...) sięga odważnie ku najważniejszemu problemom naszej epoki; kultury i cywilizacji. Jest w swym zaangażowaniu bardzo romantyczny ale szczerzy...”

O swoim doświadczeniu poetyckim tak pisał poeta: „Współczesna poezja polska to nade wszystko pogoń za oryginalnością wyobraźni. Tresura skojarzeniowa. Przez ten etap szczęśliwie przebrnęli niektórzy młodzi, szukając obecnie nowych elementów: treści, jasności, wewnętrznej konstrukcji. Uważam, iż zagadnienie wyobraźni poetyckiej jest bardzo istotnym czynnikiem w twórczości, dlatego sam kładę duży nacisk na jej obecność w wierszu (...) Nieraz wyobraźnia poniesie mnie i wówczas bląkam się w gąszczu metafor. Nie powiem, że bym tego nie lubił...”. „Dziś, kiedy zdobyłem nieco doświadczenia warsztatowego, staram się, aby utwór był konstruowany”²⁾.

Lata poszukiwań przynoszą nie tylko doświadczenia, ale też coraz bardziej dorodne owoce. Dziś każdy nowy utwór poety może stać się dla wrażliwego odbiorcy przeżyciem.

Wcześniejsze uprawianie poezji znalazło pewne odzwierciedlenie również w prozie Strzałkowskiego, w której można się doszukać podobnej wyobraźni i fantazji, a także ogromnego wyczulenia na barwę słowa i brzmienie językowej frazy. Utwory prozatorskie Strzałkowskiego zawsze są mocno osadzone w rzeczywistości. Można więc postawić tezę, że autor wysnuwa je z doświadczeń osobistych lub wnikliwej obserwacji najbliższego środowiska. Ich problematyka jest bardzo różnorodna. Najczęściej przedmiotem autorskiej penetracji stają się przeżycia ludzi młodych, dopiero wchodzących w życie. Autor nie unika przy tym spraw drażliwych, często bolesnych. Wstrząsającym dokumentem jest powieść Strzałkowskiego „Dom pełen marzeń”, ukazująca losy osieroconych przez wojnę dzieci, zebranych i umieszczonych w Domu Dziecka. Jednym z wychowanków takiego właśnie Domu był sam autor, dedykujący po latach swoją powieść „tym wszystkim, którzy mu towarzyszyli w dzieciństwie i młodości”.

Dotychczasowe osiągnięcia Zbigniewa Strzałkowskiego w prozie udowodniły, że jest on również utalentowanym epikiem. Swoje opowieści, nawet o najbardziej skomplikowanej problematyce, zawsze potrafi zaprezentować czytelnikowi w sposób niezwykle atrakcyjny, wartko i sugestywnie prowadząc narrację, barwnym, a jednocześnie klarownym językiem.

Przedstawione tu w dużym skrócie osiągnięcia Zbigniewa Strzałkowskiego to tylko jedna strona medalu. Drugą stanowią jego dokonania w szeroko rozumianej działalności społeczno-kulturalnej. Zawsze aktywny, pełen inicjatyw — już w okresie studiów był współzałożycielem studenckiej Grupy Plastyków „Inops” oraz Studenckiego Klubu Literackiego „Kontrapunkt”. Przez wiele lat był działaczem Ogólnopolskiego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Współpracował też z wieloma organizacjami, instytucjami i placówkami kulturalno-oświatowymi. Pełnił różne funkcje w lubelskich oddziałach Związku Polskich Artystów Plastyków i Związku Literatów Polskich. Kiedy w 1968 roku ówczesne władze Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie zaproponowały mu objęcie funkcji przewodniczącego tworzącego się właśnie nauczycielskiego klubu literackiego, podjął się — przy pełnym poparciu środowiska — pełnić obowiązki prezesa tego klubu. Nie przypuszczał, że funkcję tę będzie sprawował przez 15 lat, czyli do chwili obecnej.

W ciągu minionego piętnastolecia lubelski Klub Nauczycieli Literatów (który w trzydziestą rocznicę tragicznej śmierci poety Józefa Czechowicza obrał go swoim patronem), zawsze należał do najprężniejszych na terenie kraju. Tę pozycję zawdzięcza przede wszystkim swojemu przewodniczącemu. To właśnie z jego inicjatywy klub ten wydał kilka wydań literackich „Głosu Nauczycielskiego”, opublikował w 1972 roku jednodniówkę pt. „Kontrasty” oraz w 1981 roku — almanach poezji i prozy pt. „Brzegiem życia”. Przeprowadził ponadto dwa konkursy literackie, w tym jeden ogólnopolski. W lubelskim klubie literackim nauczycieli, liczącym ponad 50 członków, zawsze panowała atmosfera twórczej pracy. Systematycznie organizowano spotkania, prowadzono ożywione dyskusje na tematy ogólnoliterackie i warsztatowe, analizowano teksty poszczególnych autorów zgłoszone do koleżeńskej oceny.

Na efekty kulturotwórczej działalności klubu nie trzeba było długo oczekiwać. Zaczęły bowiem wychodzić drukiem pierwsze książki członków klubu. W okresie minionych 15 lat ukazało się ich ponad 40.

Zbigniew Strzałkowski kończy za kilka miesięcy pięćdziesiąty rok życia. Jest więc człowiekiem o dużym doświadczeniu i w pełni sił twórczych. Możemy zatem spokojnie oczekiwać jego dalszych sukcesów i osiągnięć artystycznych, życząc mu przede wszystkim zdrowia, szczęścia osobistego i wszelkiej pomyślności.

JAN MOŁDA

¹⁾ Waldemar Michalski — poetycki kontrapunkt Zbigniewa Strzałkowskiego, „Literacki Głos Nauczycielski”, nr 2 z 1970 roku.

²⁾ Zbigniew Strzałkowski — Jak piszę wiersz, „Literacki Głos Nauczycielski”, nr 1 z 1969 roku.

KAZIMIERZ
KOCHAŃSKI

Z CAŁYCH SIŁ

Nieustannie
wypełniam
moje doliny
niweluję wzniosłości
falistość oceanów moich
wyglądam

Buduję drogę prostą
geometrycznie doskonałą
Tak jak umiem

Oddaję życiu
ostatnią posługę.

DEBIUTY

ELŻBIETA
DELESZYŃSKA

ODRZUCIŁAM...

Zapomniana linijka zdarzeń
ja, objawiona ludzkości jako
kasztan kolczasty
odrzucałam skorupę.
Jestem bezbronnym jądrem
stacjonującym na tropie światła
tą gładkością wyszukana
zdana na poniżenie.

ELŻBIETA DELESZYŃSKA — absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (chemia) w Poznaniu w latach pięćdziesiątych. Obecnie — metodyk przedmiotów chemicznych w ODN w Poznaniu, Członek Klubu Literackiego Nauczycieli.

ANNA ZABACKA

POGODZENIE

wśród nocnej ciszy
gdy świerk zapachniał
w progach domu
a pamięć
przywołała twoje ciepło
rozchyliłam dłoń wyobraźni
by swobodnie błędnąć
po niestrzeżonych torach pragnień
i przywołać echa
tamtych chwil
Masz teraz zielone światło
Przyjdź

ANNA ZABACKA — nauczycielka szkół pomańskich. Uprawia poezję, prozę i krytykę literacką. Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Poznaniu.

KAZIMIERZ KOCHAŃSKI — nauczyciel pracujący w Głuchowie k/Grójca (woj. radomskie). Uprawia prozę. Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Kielcach.

NOC ZWIELOKROTNIONA

„Nocne czuwania” to trzecia z kolei książka Stanisława Rogali. Z dwiema poprzednimi — „Modlitwa o grzech” i „Zre-czakami” łączy tę powieść osoba narratora, w którego losach łatwo odczytać wspólne z biografią autora elementy, na przykład wiejski rodowód czy studia polonistyczne. Czas akcji i miejsce zawężone są do jednej letniej nocy podczas wypasu koni na łące w pobliżu wsi. Zastosowany zabieg kompozycyjny sprawia, że ta kondensacja, zarówno miejsca i czasu zdarzeń, rozsadzana jest niejako od wewnątrz poprzez retrospektywne wątki i obrazy przywoływane z pamięci narratora.

Bohatera poznajemy w przełomowym momencie przekraczania swego rodzaju „smugi cienia”. Młody człowiek spędzający wakacje w rodzinnej wsi nie tylko kształtuje dopiero własną hierarchię egzystencjonalnych wartości, lecz przede wszystkim dokonuje trudnego, mimo pozorów własnego zdecydowania, wyboru; wyrzeka się pracy na ojcowiskiej roli, odchodzi ze wsi.

W powieści poznajemy jego osobowość uchwyconą jakby w pół drogi do miejskiego awansu. Decyzja ta implikuje dramatyczną sprzeczność, gdyż świat wartości, którego się świadomie wyrzeka, włada prawie niepodzielnie jego podświadomością i wyobraźnią. Świadczą o tym w innej duchowej aurze przywoływane obrazy życia na wsi, odmienne od miejskich wspomnień. Poprzez to zróżnicowanie, w sposób pośredni, ujawnia się wartościująca obecność autora. We fragmentach dotyczących wiejskiego życia, opisujących tradycję wsi, jej przyrodę widać wyraźnie większe autorskie emocjonalne zaangażowanie. Tu zwłaszcza znajdujemy nagromadzenie spontanicznych, nie wydumanych metafor, częste posługiwanie się symbolem i groteską, baśniowość wątków. Te partie najsilniej oddziałują na czytelnika. Natomiast relacje o miejskim pośpiesznym życiu w „kwadratowych pokojach” akademika

przedstawione zostały, poza fragmentami (jak na przykład alegoryczna walka z psami) bardziej powierzchownie. Niekiedy opis zdarzeń sprowadzony jest do skrótu będącego wyliczaniem faktów jak z dziennego terminarza zajęć.

Dziwczyną bohatera także należy do tego świata, jej mentalność doskonale komponuje się jego parametrami. Dlatego zapewne stanowi tylko przejściowy etap w uczuciowej edukacji narratora. Na kartach powieści tak naprawdę trwa, rozciągając się w czasie, nasycana znaczącą treścią i pełnią życia nocne czuwanie w dolinie otoczonej górami. Płonące ognisko, zaludniające tę polanę monstrualnymi cieniami, staje się jakby ośrodkiem uśpionych przestrzeni świata. W tajemniczej ciemności łąki zwielokrotnione są głosy i dźwięki, różne rodzaje światła i blasków, różne odcienie mroku. Niepokojące piękno przyrody i stan duchowy bohatera przenikają się nawzajem, dopełniając poetyckiej atmosfery.

W powieści występują często przeskoki w narracji i nie zapowiedziane zmiany wątków, ale jest to logiczna i konsekwentna realizacja autorskiego zamierzenia, a nie wynik niepanowania nad powieściowym materiałem. Elementy te wprowadzają własną i niezależną od istniejącej w fabularnych wątkach dramaturgię, która nie tylko nie przeszkadza w odbiorze tej prozy, lecz stanowi dodatkowy kompozycyjny walor dynamizujący treść książki.

Mniej interesujące w omawianej pozycji, poza wskazanymi wcześniej fragmentami, wydają się bezpośrednie relacje o wzajemnych stosunkach pomiędzy czuwającymi koniopasami, ich dialogi. Jest także pewien niedostatek innego rodzaju: zastanawia lekceważący stosunek bohatera do ojca. Ta postawa, choć ewoluuje pod koniec w kierunku uznania ojcowiskich racji, nie jest nigdzie wyraźnie umotywowana w powieści.

Niezależnie od wymienionych niedostatków „Nocne czuwanie” to książka, która porusza wyobraźnię i skłania do własnych przemyśleń.

MARIA PIENIAŻEK

*) Stanisław Rogala: Nocne czuwanie, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1982, str. 200.

EUGENIUSZ
SZULBORSKI

NIE ZGINEŁA

Jedno pragnienie
jedna wielkość
największa najwspanialsza
dwa kolory biel i czerwień
biel — bo łyzy wyprały
spaleniżnę chat
czerwień — bo krew zabarwiła
płócienną koszulę
jeszcze tu i tam
Nie zginęła nie zginęła.

EUGENIUSZ SZULBORSKI pracuje w szkołach średnich w Białymstoku. Poeta, autor tomiku poezji.

BIOGRAFIA ZIEMI I CZASU

Nasze otoczenie — jak czas — ucieka w niepamięć. Nawet wzgórze nie są już takie same, a dom „na Sadowej” przestał istnieć. Rzeźbiarz z bielskiej starówki ciągle jeszcze rozumie skrzypiącą lipę i w korze utrwała wizję swej Madonny. Helena Kudłaciak w zbiorze wierszy „Pasjans ze słońcem” pisze biografię ziemi bielskiej, mijającego czasu, widzianego przez pryzmat czulego serca. W wierszu „W trzaskach umierają ptaki” stwierdza: „chcę utrwalić obraz... schodzącego dnia” i uściśla, jaki to obraz chciałaby utrwalić, konsekwentnie prowadzi swoje myśli poprzez lato 1980, przez „gorączkę burzliwych dni”.

Otoczenie nasze, to takie niskie ukłony, ukłony naszych znajomych, tym niższe, im wyższy stołek zajmujemy. Stołek ów staje się z czasem tak wysoki, że dostajemy zawrotu głowy. Idąc ulicą — z wysokości tego stołka spoglądamy na przechod-

niów, oczekujemy ukłonów. Poetka wskazuje palcem: „Jesteś chory na ukłony”.

Obok owych obrazów zewnętrznych w wierszach Heleny Kudłaciak są jeszcze inne, może nawet piękniejsze obrazy duszy. Pytanie retoryczne: „Tylko czy nie jestem jak uszkodzona zabawka niepotrzebna nikomu” nie kończy się wprawdzie znakiem zapytania, ale ma odpowiedź w ogromie świata i słońca, w twardej ludzkiej woli. „Twoja wola, złamać kark”, „Twoja wola, a można wszystko zaczynać od nowa” i wyjść z obsesji niezawinionej „na nową ulicę istnienia”. Początek tego istnienia to „pasjans ze słońcem”, dobra wróżka małżeńskiego winobrania, rozpoczynającego się fazami brzemienności i słabym krzykiem „małego ciała”. Później już wzrasta „Agawa”, kłująca poprzez zwyczajności dni, zwyczajność pocałunków matki.

Owe refleksje byłyby niepełne, gdybym pominął „Taniec w miejscu”, „Koncert Artura Rubinsteina”, „Spotkanie w obłoku” czy wspaniałą „Autobiografię”. „Taniec...” i „Koncert...” ukazują poetyckie czucie Heleny, jej duszę chwytającą muzyczne akordy. W takich chwilach Kudłaciak, „Panna Jesienna” rozsypuje wrzosowe włosy i pogrąża się w „Zamęt zmysłów, bunt kochania”. A kochanie bywa różne, takie — bez milczenia — i takie, po spełnieniu, którego człowiek staje się tylko eksponatem muzealnym wypranym z życia. Wtedy „Cieniotwarze wychodzą na spacer”, modlą się, aby nigdy więcej...

Helena Kudłaciak wyrosła ponoć samowolnie, wbrew woli krytyków, a przecież można to powiedzieć nie tylko o niej! Nie tylko jedna Kudłaciak potrafi cieszyć się napisanym wierszem. Dobrym wierszem cieszą się czytelnicy. Jako jeden z nich pozwolę sobie pójść śladem myśli poetki i dostrzec piękno „mizernego słowa”, piękno zamknięte wspólnym tytułem „Pasjans ze słońcem”. Ow „Pasjans...” napisała ziemia bielska, bo ona wydała Autorkę. Czyż jest w tym coś dziwnego, że w zbiorze wierszy Kudłaciak widzę biografię ziemi i czasu?

EUGENIUSZ SZULBORSKI

*) Helena Kudłaciak. „Pasjans ze słońcem”. Towarzystwo Ziemi Żywieckiej Grupa Literacka im. Emila Zegadłowicza „Gronie”, 1982.



Lublin — Stare Miasto

Zb. Strzałkowski, linoryt

BOGUSŁAW ŻURAKOWSKI

NAD SOBĄ

Nagle budzę się w środku dnia
Nad źródłem otwartego serca.
Słońce świeci chłodne jak księżyc.
Drzewa i księżyc są czarne, domy —
Szare, jak gdyby spowite w sierść.

Dzwon dwanaście razy powiedział:
Tak. Przemyka oglądając się człowiek.
Pusta ulica jak smuga światła.
Wylot reflektora. Za człowiekiem biegnie
Pies nocy z opuszczonym ibem.

DALEJ, DALEJ

Rozpacz: mogę wejść po raz drugi do kina
Wolność, gdzie wyświetlają film Czas Apokalipsy.
I oglądać śmierć śmierci. Ale to nie jest
Życie.

Mogę wyjść na ulicę i studiować marki samochodów.
Ich właściciele zmienili zwierzęta na żelazo i szkło.
Aby dogonić czas. Ale to nie jest jeszcze
Życie.

Spróbuję porozmawiać z drzewem, choć wiem, że nie odpowie
Na pytanie, ale tylko wspinać się będzie do mnie w oknie —
W końcu przeskoczy parapet i rozgości się w kącie obok
Pieca.

Drzewo wejdzie w piec i zaszumi konarami nad dachem.
Życie.

BOGUSŁAW ŻURAKOWSKI — poeta i krytyk literacki. Autor wielu tomików poezji oraz dwóch książek o poezji. Członek ZLP. Wieloletni przewodniczący Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Opolu. Obecnie pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

NAUCZYCIEL, PISARZ...

16 listopada 1982 r. odszedł na zawsze Stefan Iwaszkiewicz (urodzony 10 stycznia 1904 roku w Hawrylańcach — pow. oszmiański na Wileńszczyźnie).

Jeszcze niedawno okazała jego postać spotykało się często w klubach twórczych w Opolu. Był członkiem Okręgowego Klubu Literackiego ZNP od początku jego istnienia. Pamiętamy jego niezawodne uczestnictwo w seminariach, kursach i sympozjach literackich — zarówno w tych „centralnych” (organizowanych najczęściej w Gdyni), jak i w tych „regionalnych” (w Turawie k. Opola). Opowiadania S. Iwaszkiewicza były drukowane w wielu publikacjach klubu nauczycielskiego: we wkładkach literackich „Głosu Nauczycielskiego” i „Kwartalnika Nauczyciela Opolskiego”, w almanachach literackich nauczycieli.

Będąc już na emeryturze — intensywniej pracował literacko, niż wówczas, kiedy uczył nas, licealistów III Ogólnokształcącego Liceum w Opolu — wówczas jeszcze „męskiego”. A uczył przede wszystkim sztuki interpretacji tekstu literackiego według najlepszych wzorów prof. M. Kridla. (Sam niegdyś swoją pracę magisterską napisał pod kierunkiem prof. S. Pigonia, ale Kridl był jego drugim mistrzem). W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, gdy literaturę opisywano schematycznie, dzieląc pisarzy na postępowych i wstecznych, miałem szczęście zetknąć się dzięki Stefanowi Iwaszkiewiczowi z autentycznym wartościowaniem tekstu na podstawie rzetelnej analizy, a nade wszystko z dobrym smakiem literackim. Podczas lekcji „naszego” profesora miało się wrażenie, że uczestniczymy w badaniach literaturoznawczych. Niekiedy lekcja zmieniała się w swoiste sympozjum. Lubiliśmy te lekcje literatury, ale najbardziej zadowolony był nauczyciel, który odnosił się do naszych poczyniń z ogromną sympatią.

Zdarzało się, że nasz „pan od polskiego” był przez moment „nieobecny”. Patrzył wówczas jakby poprzez nas... Większość uczniów szanowała te chwile. Wiedzieliśmy, że profesor pisze. Czytaliśmy w „Głosach znad Odry” (dodatek „Trybuny Opol-

skiej”) artykuły S. Iwaszkiewicza czy informacje o nagrodzie, zdobytej przezeń na konkursie literackim. Znacznie później dowiedziałem się, że słowa śpiewanej przez nas popularnej piosenki „Odra” ze słynnym refrenem „Gdzie Odra nasza rzeka...” (muzyka Józefa Krajewskiego) wyszły spod pióra Stefana Iwaszkiewicza. Dziś widać, że szczęście miał nie tyle do publikatorów, co do konkursów literackich — regionalnych i ogólnopolskich. Pierwszymi i drugimi miejscami nagradzana była jego proza: „Opowieść starki” (1953), „Na ziemi opolskiej” (1965), „Sto lat pod niebem Śląska” (1965). W osobnym druku ukazały się tylko: powieść „Życie od nowa” (1969, pod pseudonimem Juliusz Budrel) i sztuka „Walerka”. Pozostałe utwory rozproszone są w gazetach i czasopiśmie („Trybuna Opolka”, „Głos Nauczycielski”, „Kwartalnik Nauczyciela Opolskiego”) i w almanachach. Kilka jego utworów prozatorskich oczekuje w wydawnictwach na opublikowanie.

Stefan Iwaszkiewicz — mimo, że urodzony i wychowany na Wileńszczyźnie (filologie polską ukończył na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie) — ze szkolnictwem w Opolu i ze Śląskiem Opolskim związany był od pierwszych dni września 1945 roku. Pisał o tamtych czasach: „Jednego z pierwszych dni września czterdziestego piątego roku wysiadłem na Dworcu Głównym w Opolu. Było to moje pierwsze zetknięcie z miastem, które znałem z opisu Stanisława Wasylewskiego („Na Śląsku Opolskim”), zaraz spytałem pierwszego spotkanego przechodnia, gdzie mieści się jakieś gimnazjum (...) Po sześciu latach jałowego życia byłem mocno spragniony pracy polonistycznej”. („Kwartalnik Nauczyciela Opolskiego”, nr 1, 1979). Zrazu uczył w Żeńskim Gimnazjum i Liceum przy ul. Kościuszki w Opolu, później — w Liceum Pedagogicznym. W zawodzie nauczycielskim pracował od 1927 roku. Zarówno swoją pracą pedagogiczną jak i tematyką utworów literackich wrósł w pejzaż opolski na zawsze.

BOGUSŁAW ŻURAKOWSKI